

Wiersze dla dzieci: Jana Brzechwy, Konstantego Ildefonsa Galczyńskiego, Juliana Tuwima. Fraszki Igora Sikiryckiego. Proza SF Kiryla Buleczowa. Reszta dla dorosłych.

Łódź  tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 23 (1314) ROK XXVI 4 CZERWCA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ



Foto: M. Zajdler

Nie tylko jego Żyrardów

JULIAN CIESONIK

W Żyrardowie przy ulicy Dzierżyńskiego 34, na ścianie jednego z domów fabrycznych, pamiętających XIX wiek, wmurowana jest tablica pamiątkowa ku czci PAWŁA HULKA-LASKOWSKIEGO. Pisarz, tłumacz, publicysta, obrońca żyrdowskich robotników doczekał się owego symbolu pamięci w 1966 roku. Decyzję w tej sprawie władze miasta podjęły dwadzieścia lat wcześniej. W tym samym domu na piętrze, w dwóch pokojach z kuchnią mieszka córka pisarza, pani ELŻBIETA HULKA-LASKOWSKA DUDKIEWICZ wraz z synem, synową i wnaczką. Jeszcze po wojnie do rodziny należały pomieszczenia, gdzie zgromadzony był bogaty księgozbiór pisarza. Później część pomieszczeń trzeba było oddać, a księgozbiór zakupiła biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego.

TROCHĘ HISTORII

Jeszcze w szesnastym wieku, co potwierdzają teksty „Lustra-

cji dóbr królewskich w województwie rawskim”, była tu „... puszcza wielka, kiedy turowie mieszkają często, która się ścięga do puszczy Jaktorowskiej”. Po dwustu latach, za sprawą wynalazcy maszyn do mechanicznego przędzenia lnu, Philpa de Girard, któremu bracia Henryk, Tomasz i Jan Lubieński oraz Józef Lubowidzki i Karol Scholtz powierzyli budowę fabryki wyrobów lnianych powstał tu zakład dający dwie trzecie wartości produkcji włókienniczej Królestwa Polskiego.

Od 1885 roku prezesem zarządu Towarzystwa Akcyjnego Zakładów Żyrardowskich był Karol Dittrich, syn Karola Dittricha, niemieckiego przemysłowca z Moraw, który wespół z Karolem Helle w 1857 kupił fabrykę od Banku Polskiego za 98 tys. rubli. Z Banku dostali też Helle i stary Dittrich pożyczkę w wysokości 137 tys. rubli, zobowiązując się systematycznie rozbudowywać zakład, korzystać przede wszystkim z surowca krajowego,

oraz „zatrudniać jak można największą liczbę krajowych”.

Młodszy Dittrich pozostał na stanowisku prezesa do 1905 roku, kiedy to pod wpływem wydarzeń rewolucyjnych obraził się na Żyrardów i wyjechał na stałe za granicę. Wcześniej, w 1899 roku, sprzedał swoje udziały w Towarzystwie — trzysta pięćdziesiąt spośród sześciuset wypuszczonych akcji Zakładów Żyrardowskich. Do dziś wśród starszych mieszkańców miasta można spotkać się z opinią, że młodszy Dittrich kapitalistą był nietypowym i dla Żyrardowa zrobił dużo dobrego.

U TEGO DOBREGO KAPITALISTY

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI zaczął pracować w dwunastym roku życia, przedtem chodził do fa-

12

Jan Brzechwa

Król i błazen

Był król, co prosto z błota
Szedł w pałacowe wrota
I nie wycierał nóg,
Chociaż je wytrzeć mógł.

Silił się ochmistrze,
By mieć podłogi czystsze,
Lecz brud przynosił król
Z polowań, z łąk i pól.

Martwili się dworzanie,
Że pałac jest w tym stanie,
Bo nikt już nie miał sił,
By zmyć brud i pył.

Podłoga jest ze złota,
Lecz pełno na niej błota,
Osiada wszędzie kurz...
Któż skarci króla, któż?

Wzdychały dworskie damy:
„Jakżeż powiedzieć mamy —
Nasz królu, tak a tak...
Odwagi na to brak”.

Radzili ministrowie,
Kto to królowi powie,
Lecz każdy z nich się bał:
A nuż król wpadnie w szal?

Miał błazna król na dworze,
Raz król był nie w humorze,
Włec gońca wysłał wnet,
By błazen zaraz szedł.

I król powiada: „Błaznie,
Mam humor zły wyraźnie,
Coś wesołego mów,
Chcę słuchać twoich słów!”

Popatrzył błazen chytrze:
„Niech król wpierv nogi
wytrze,
Nie znoszę, gdy jest brud,
A tu jest brudu w bród”.

Król uniósł w górę palec:
„A cóż to za zuchwalec!”
Wtem rozgogdził twarz:
„Wiesz, błaznie, rację masz!”

Masz rację, kiedy wchodzę,
Zostawiam na podłodze
I brud, i pył, i kurz,
Z tym trzeba skończyć już!

Hej, służba! Hej, sprzątaczk!
Przyńście wycieraczki!
A kto nie wytrze nog,
Nie wpuszczaj go przez próg!

Wycierać trzeba nogi,
Bo brudza się podłogi,
Kurz wdziera się do ptac,
Brudasów każę tuć!”

I odtąd król ten srogi
Dbal bardzo o podłogi,
A gdy przez wrót szedł, wprzód
Wycierał każdy but.

Ta bajka jest zmyślona,
Ale zachęca ona,
Jak każdy stwierdzić mógł
Do wycierania nóg.



Foto: M. Zajdler

CZYTAJ STR. 6

Mimo niespodziewanego zima na ulicach Zduńskiej Woli pojawiły się grunki oświetlone ubranych kobiet, które kierowały się w stronę sali widowiskowej Miejskiego Domu Kultury przy ulicy Dąbrowskiego. Na pobliskim parkingu zrobiło się od razu tłoczno: samochody zajęły cały plac i krawężniki szerokiej ulicy.

Na sali gwar, z odległych pomieszczeń są donoszone krzesła, ale i tak wiele osób stoi pod ścianami. Niewielka galeria nad salą jest także przepiękna do granic możliwości. Nastrój podniosły, odświętny. Telewizja ustawia kamerę próbuje swą Pstrykąją aparaty fotograficzne.

Zebrały się tu reprezentantki różnych zawodów: pielęgniarki w niebieskich fartuchach i białych czepkach na głowach, rolniczki w strojach ludowych przyciągających swoją kolorystyką wzrok, przedki, ekspedientki, nauczycielki, siostry zakonne. Wiele matek zjawilo się z dziećmi, niektóre nawet z niemowlętami. Twarze młode i twarze przeorane zmarszczkami, dionie urzędniczek i spracowane ręce kobiet wiejskich.

Na mównicę wchodzi MARTA DEUBAŁA — przewodnicząca Koła Spółdzielczy przy PSS „Społem”. Mówi:

— Drogie Koleżanki! Drogie Mieszkaniczki Zduńskiej Woli! Drogie Matki! Łączy nas jedna Ojczyzna i jedno miasto, w którym żyjemy, pracujemy, wychowujemy dzieci. Łączy nas wielka troska o pokój w Ojczyźnie, który przecież jest tak bardzo potrzebny, aby rosły nasze dzieci i wnuki. Łączy nas jedno wielkie słowo — MATKA! Dlatego właśnie w przededniu Święta Matki zebrałyśmy się tutaj aby zamantefestować całym naszym matczynym sercem na rzecz pokoju.

Nie tego forum nie organizowała żadna organizacja polityczna czy społeczna, nie inspirował go Komitet Miejski partii. Pomyśl, zrodził się spontanicznie: jedna kobieta powiedziała do drugiej, że boi się o przyszłość własnych dzieci, że niepokoi ją rozszerzająca się eskalacja zbrojeń. Dotarło to do trzeciej, potem czwartej, dziesiątej, setnej i tysięcznej. Dołączyły do nich młode dziewczęta pracujące obok na krosnach, za sklepowymi ladami, przy sąsiednich biurkach. Poparły rencistki i emerytki, zjawily się babie. Ktoś zaproponował, że trzeba się zebrać, trzeba publicznie zaprotestować, powiedzieć swoje NIE! Nikt nikogo nie pytał do jakiej partii należy, jakie wyznaje poglądy, czy modli się w kościele katolickim czy ewangelickim.

Zebrały się w przededniu Święta Matki, przyszły same, nikt nikogo nie agitował, nie ponaglał, nie przekonywał o słuszności udziału w tym jedynym forum matek, na którym miało mówić o sprawie najważniejszej: o uchronieniu dzieci przed groźbą nuklearną. Na scenie zawieszono hasło: „Pokój i szczęście dzieci jest naszą wspólną sprawą”. Obok emblemat: matka z dzieckiem na tle białego gołębia.

Mówi MARTA DEUBAŁA: — Bez względu na przekonania polityczne i światopogląd, każda matka kocha swoje dziecko jednym wielkim gorącym sercem. Każda matka pragnie ostonić swoje dziecko od groźnego mu zła. Nasz niepokój Matek-Polek jest uzasadniony, ponieważ wiele państw pragnie zakłócić ten tak drogi, obłany krwią milionów istniejący ludzki pokój w Europie.

Wiele matek mówiło o trwode, jaką przeżywały na wieść, że gdzieś są montowane nowe głowice atomowe, że przeznaczone są miliardowe sumy na zbrojenia, że zapasy polskich nuklearnych są tak wielkie, iż praktycznie nie ma już możliwości ich zniszczenia bez zniszczenia całej Ziemi.

ANTONINA PAWŁOWSKA — rencistka:

— Jesteśmy dawczykami życia i dlatego nie możemy się zgodzić, aby owoc naszego żywota miał się stać tylko mięsem armatnim, albo przy użyciu dziesiętych środków technicznych miał być niweczony bronią masowej zagłady. Nie dla takich celów człowiek został stworzony. Nie straszcie naszych dzieci i nas losem Hiroshimy i Nagasaki!

HONORATA PŁOCIENNIK — przedstawicielka młodzieży:

— My chcemy współpracy a nie konfrontacji. Opowiadamy się za kontynuacją polityki i pokoju i odprężenia i dołączamy swój głos do światowej kampanii młodzieży przeciwko nuklearnemu zagrożeniu, do walki o pokój i rozbrojenie. Wiemy, że najbardziej ambitne ludzkie plany i najskromniejsze

marzenia mają szansę spełnienia jedynie w warunkach pokoju.

JADWIGA MATUSIAK — gospodyni ze wsi Woźniki:

— My członkinie Kota Gospodyń Wiejskich jesteśmy rolniczkami, ale również jesteśmy matkami, a przede wszystkim jesteśmy Polkami. Nie bardzo znamy się na polityce, ale wiemy jedno: kochamy naszą Ojczyznę i kochamy nasze dzieci i bardzo chcemy, aby rosły w pokoju. Znamy okrucieństwa wojny z opowiadań rodziców i z historii, doceniamy, co znaczy wolność Ojczyzny. I to wszystko dziś, jak rozumiemy, jest zagrożone. A my chcemy by nasza ziemia karmiła nas chlebem, i by starczyło go dla wszystkich. Chcemy spokojnie orać nasze zagony i chcemy spokojnie chować nasze dzieci, bez widma głodu i śmierci.

WALENTYNA ANNA KUBIK — poetka, szwaczka z ZPDz „Wola”:

O dziecka los — spokojny sen słoneczne dni — drży matka Polka

O Dom Ojczysty przed falą burz i śmiercionośnym gradem

— drży matka Polka

Pragnie nawet serce dać

EUGENIUSZ IWANICKI

W obronie najpiękniejszych kwiatów

— w dzień i w nocy trzymać straż wyrzeczonych pełna — matka Polka

MARTA SADOWSKA — rencistka:

— Która z nas, matek, nie pamięta; łapanek, wywozu na przymusowe roboty do Rzeszy, w tym także młodocianych? Która z nas, matek, nie darła z głowy włosów z rozpacz, nie wylewała strumieni łez, bolejąc nad losem tych najbliższych, którzy wzięci, katowani w obozach koncentracyjnych, w miejscach zbiorowej zagłady i zbiorowego mordu, którzy jednal przetrwali i powrócili? Która z nas, matek, nie opłakiwała zamęczonego w obozie syna, męża, córki, o których śmierci dowiadywała się z obozowej depeszy: „Umarł na atak serca” Która tego nie pamięta? Dlatego trzeba krzyknąć wielkim głosem: Nie! Nie! Nigdy więcej wojny!

HELENA MATAŠKA — pracownica PSS „Społem”:

— Na całym świecie jest niepokój, nie zagroził się rany i ogrom zniszczeń drugiej wojny światowej, a już produkują się nową broń masowej zagłady. Świadomość, jakie skutki mógłby pozostawić konflikt zbrojny przy użyciu tejże broni, wywołuje u każdego myślicy człowieka, przerażenie. My, kobiety-matki wiemy najlepiej z jakim trudem i wysiłkiem wychowywaliśmy i wychowujemy swoje dzieci. Wrażliwość na waśnie i niezgody, starajmy się łagodzić napięcia, ostudzić emocje. Bierzmy udział w społecznym działaniu na rzecz środowiska i miasta, na rzecz PRON... Dziś, w przededniu Dnia Matki, zwracam się do wszystkich kobiet: i tych w wieku emerytalnym, i tych młodszych, które dopiero co ukształtowały życie rodzinne — złączmy nasze działania na rzecz pokoju, nie pozwólmy, aby politycy państw NATO wprowadzili niepokój w nasze domy!

STEFANIA STANISŁAWSKA — sekretarz Zarządu Wojewódzkiego Ligi Kobiet Polskich:

— Jest już czas po temu, aby te, które dają na świat nowe życie, wyraziły swój protest przeciwko tym wszystkim, którzy burzą spokój naszych domów, którzy temu życiu zaprzają. Niebezpieczeństwo takie niosą z sobą coraz to nowe plany zbrojeniowe Stanów Zjednoczonych i państw NATO... Jako kobiety mamy prawo żądać opamiętania się od zachodnich polityków. Takie prawo wynika z faktu, iż to my później czekamy na mężów i synów, my ponosimy trud wychowania potomstwa, my opiekujemy się polnymi. Pragniemy żyć, pracować i wychowywać nasze dzieci w pokoju, bez widma atomowej zagłady. Nie wolno nam

dopuszczać, aby dorobek przysięż i obecnych pokoleń poszedł w niwecz, aby został unicestwiony przez szaleńców. Stąd nasza obecność dzisiaj tu, będąca naszym małym wkładem w ogólnoswiatową batalię o pokój.

STANISŁAWA GRADKOWSKA — rolniczka ze wsi Ochraniew:

— Nasza jedność w żądaniach, nasza wiara płynąca z głębi matczyńskich serc, powinna być wysłuchana byśmy mogły spokojnie wychowywać swoje dzieci. I byśmy mogły stanąć do pracy, która tak bardzo potrzebna jest naszej ojczyźnie. Bo Polska — to nasz dom, wspólny dom i w tym domu chcemy mieć spokój.

Kobiety wchodziły na mównicę, lecz nie wszystkim udawało się do końca wygłosić to, co zamierzaly. Często w połowie zdania nagły płacz wykrzywał rysy, łzy spływały po policzkach, głos rwał się, słowa lamaly szyk zdania. Wzruszenie udzielało się sali: chusteczki wędrowały do oczu.

Mówiono nie tylko o dniu dzisiejszym i niepewnym jutrze. Wracano do okupacji, do zdarzeń bliskich mieszkańcom Zduńskiej Woli. Któraś ze starszych kobiet przypomniała paniczny strach i ucieczkę z miasta, ucieczkę chaotyczną, bezładną — samochodami, pieszo,

równi z mężczyznami stoją przy maszynach, pracują w biurach, w spółdzielniach, w kolejniectwie, gastronomii, a ponadto mają czas na wychowywanie dzieci, na prowadzenie domu, na pracę społeczną. Skąd biorą tyle siły? Tyle miłości? Tyle poświęcenia i miłości pokory? I kto na świecie ma większe prawo od nich mówić o wychowywaniu pokoleń dla pokoju? Kto ma prawo walczyć pełnym głosem o życie dla dzieci, jeśli nie one, które to życie dają?

Nie wiem ile przybyło na to forum kobiet, nie wiem także, kto im powiedział, że odbędzie się ono właśnie dzisiaj, w przeddzień Święta Matki. Jakie wici zostały rozესiane do okolicznych wsi, skoro gospodynie przybyły jak na największe swoje święto, bo ubrane w piękne stroje ludowe wzbudząc tym samym zaciekawienie i przypominając, że kultura ludowa, że sztuka tkacka jeszcze całkiem nie wyginęła. Próbowaliśmy pytać: Odpowiadano mi, że w całej sprawie nie ma niczego tajemniczego, że przecież już trzy lata wstecz kobiety ze Zduńskiej Woli, konkretnie z zakładów „Wola”, wystosowały, jako pierwsze w Polsce, apel o zaprzestanie wyścigu zbrojeń i o zachowanie pokoju na świecie. Teraz — mówily — nas to nie zadowala, chcemy mieć za sobą kobiety całego świata. Dlatego też naszą dzisiejszą rezolucję przesyłamy do Światowej Rady Pokoju, a także do ONZ. Nasza sprawa jest słuszna i nie znajduje się na całej kuli ziemskiej taka matka, która by nas nie poparła.

Na zakończenie przytoczę rozmowę, jaką przeprowadziłem z obecną na sali Siostrą INVOLATĄ z zakonu Sióstr Felicjanek:

— Co Siostra, jako zakonnicca, sądzi o dzisiejszym forum matek i o apelu, jaki tu został uchwalony?

— Ten apel ma swój głęboki humanitarny sens. Jestem wychowawczynią młodzieży i mnie także bardzo zależy na tym, aby z tej młodzieży wyrosli dobrzy Polacy. Jednocześnie nie chcę, by kiedykolwiek stali się oni ofiarami ludzkiej nienawiści, przemocy i braku miłości.

— Wiele mówiono o pokoju, który jest wartością najwyższą dla obecnego świata...

— Pokój na świecie jest możliwy wtedy, jeśli istnieje on w duszy każdego człowieka.

A oto treść „REZOLUCJI MIESZKANEK MIASTA ZDUŃSKA WOLA ZGROMADZONYCH NA FORUM MATEK 25 MAJA 1983 ROKU”:

„My, matki, mieszkanki Zduńskiej Woli, zebrane w przededniu Dnia Matki, pragniemy wyrazić nasze głębokie zaniepokojenie o przyszłość pokoju na świecie i los naszych dzieci.

Świadome rosnącego zagrożenia dla pokoju, doświadczone rezultaty II wojny światowej, świeżo mające w pamięci zbrodnie popełnione w Wietnamie i Libanie, zatroskane o byt narodu i państwa polskiego, życie i przyszłość naszych dzieci — mówimy NIE, tym którzy za nie mają największe dobro człowieka, jakim jest pokój.

Nabierający coraz szybszego tempa wyścig zbrojeń wskazuje, że w każdej chwili dojść może do największej tragedii. Uważamy, że zbrodnia przeciwno ludzkości jest ciągłe ulepszenie metod zabijania człowieka przez człowieka.

Pełne troski o przyszłość naszych dzieci, my, zdumskowolskie matki, solidaryzujemy się z ludźmi miłującymi pokój i przyłączamy się do nich.

Od tych, dla których pokój, międzynarodowy dialog, zrozumienie dla racji i humanitarnych dążeń ludzkości, jest obce, domagamy się:

— zaprzestania doskonalenia broni wszystkich typów i rodzajów,

— rozpoczęcia konstruktywnych rozmów między Zachodem a Wschodem na temat rozbrojenia — rozmów nacechowanych troską o przyszłość świata,

— podjęcia redukcji wydatków na zbrojenia we wszystkich krajach świata.

Zwracamy się do wszystkich matek w kraju i poza jego granicami: Wyrażcie poparcie dla naszego stanowiska!

Udowodnicie w codziennym życiu jak bardzo cenicie pokój, jak bardzo jest on potrzebny światu!

Miejmy świadomość, że walka o pokój, to walka o szczęście naszych dzieci. Rezolucję niniejszą przekazujemy do Ogólnopolskiego Komitetu Obrońców Pokoju z prośbą o zaprezentowanie jej na Światowym Zgromadzeniu SI Pokoju w Pradze”.

Towarzyszom „czarnej sztuki” — naszym codziennym współpracownikom z Łódzkich Zakładów Graficznych RSW „Prasa — Książka — Ruch” w Łodzi

najserdeczniejsze życzenia z okazji ich zawodowego święta składa zespół „Odgłosów”

Ogólnopolski Konkurs Literacki o nagrodę „Czółenka Tkackiego — 1983”

Zarząd Łódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej — Klub Młodych Pisarzy „Wiaduki”, Zakładowy Dom Kultury Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniotex”, Stowarzyszenie Twórców Kultury, Tygodnik Społeczno-Kulturalny „Odgłosy”, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi ogłaszają Konkurs Literacki o nagrodę „CZOŁENKA TKACKIEGO” w czterech kategoriach:

- poezji
- prozy
- reportaży
- bajek dla dzieci wierszem lub prozą

ZALOŻENIA REGULAMINOWE:

— Celem Konkursu jest popularyzacja twórczości literackiej, rozbudzenie talentów oraz stworzenie młodym twórcom możliwości publikacji.

— W Konkursie mogą wziąć udział wyłącznie autorzy nie zajmujący się zawodowo literaturą i dziennikarstwem.

— Na Konkurs należy nadsyłać utwory, które do tej pory nie były nigdzie publikowane i nagradzane w konkursach literackich.

— W kategorii poezji każdy uczestnik Konkursu winien nadesłać poemat lub cykl wierszy (minimum 5 utworów).

— W kategorii prozy organizatorzy oczekują tematyki związanej z pracą, życiem i obyczajami środowisk robotniczych — w formie opowiadania, noweli, esaju lub szkicu.

— W kategorii reportaży prace powinny być tematycznie związane z przemysłem lekkim. Organizatorzy Konkursu oczekują reportaży stanowiących artystyczną wizję rozwoju i przemian kulturowych powojennego społeczeństwa polskiego, ukazujących ludzi pracy, zwłaszcza młode pokolenie Polaków, w kontekście najżywniejszych problemów kraju.

NAGRODY:

— poezja	I „Czółenka Tkackie”	7.000 zł
	II	5.000 zł
	III	3.000 zł
	dwa wyróżnienia po	1.000 zł

— proza	I „Czółenka Tkackie”	10.000 zł
	II	7.000 zł
	III	5.000 zł
	dwa wyróżnienia po	1.000 zł

— reportaży	I „Czółenka Tkackie”	10.000 zł
	II	8.000 zł
	III	6.000 zł

— bajki dla dzieci

I nagroda za zestaw trzech bajek 15.000 zł

II nagroda za zestaw trzech bajek 12.000 zł

III nagroda za zestaw trzech bajek 10.000 zł

Oceny prac dokona Jury złożone z krytyków i twórców oraz przedstawicieli organizatorów. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Prace nadesłane na konkurs nie będą zwracane.

Prace konkursowe, oznaczone godłem, należy nadsyłać w 5 egzemplarzach maszynopisu do dnia 30 września 1983 roku (decyduje data stempla pocztowego), pod adresem: Zakładowy Dom Kultury LZPB im. Obrońców Pokoju, ul. Przedzłaziana 68, 90-335 Łódź, z dopiskiem na kopercie „Konkurs Literacki” o „Czółenka Tkackie”. Do pracy należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres autora.

Rozstrzygnięcie Konkursu i wręczenie nagród odbędzie się 13 listopada 1983 roku, o godzinie 11.00, w kawiarni ZDK (adres jw.) podczas spotkania, na które laureaci zostaną zaproszeni.

Najlepsze prace będą opublikowane w całości lub we fragmentach w tygodniku „Odgłosy” oraz odrębnie uhonorowane, a także publikowane w jednodniowej literackiej LZPB „Obrońców Pokoju”.

Dodatkowych informacji na temat Konkursu udziela Zakładowy Dom Kultury LZPB im. Obrońców Pokoju (adres jak wyżej). Komisarzem Konkursu jest mgr Józef Galecki.

DZIEŃ DZIAŁACZA KULTURY

27 maja, jak co roku, obchodziliśmy Dzień Działacza Kultury. Z udziałem przedstawicieli władz politycznych i administracyjnych naszego województwa, z członkiem Biura Politycznego KC PZPR, pierwszym sekretarzem KE PZPR, Tadeuszem Czechowiczem, odbyła się w tym dniu uroczystość w Muzeum Historii Miasta Łodzi.

Do zebranych przemówił przewodniczący Rady Narodowej Miasta Łodzi prof. M. Serwiński. Mówca podkreślił rolę kultury w rozwoju społeczeństwa i narodu, a także złożył działaczom i pracownikom kultury podziękowania za dotychczasową, wyjątkową pracę, wyraził nadzieję, że w przyszłości będą mogli przyczynić się do rozwoju kultury w naszym kraju. Najbardziej zasłużyli i najaktywniejsi ludzie kultury zostali uhonorowani odznakami i uhonorowanymi nagrodami.

Honorowa Odznaka Miasta Łodzi otrzymał — K. Boherek, J. Bernat, J. Pietrowski, S. Ostapowicz, D. Chrościelewska-Kuźniak.

Odznaki „Zasłużony Działacz Kultury” przyznano ponad pięćdziesięciu osobom. Z przyjemnością informujemy, że wśród nich znaleźli się nasi koledzy — dziennikarze: Jerzy Bąbel (Dziennik Łódzki), Maria Hoffman-Królikowska (Polskie Radio) i Renata Sas (Dziennik Łódzki).

Dyplom ministra kultury i sztuki wręczono przedstawicielom Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych w Łodzi i kabaretu „Bi-Ba-Bo” — DDK Łódź-Śródmieście.

Blisko 100 osób otrzymało nagrody dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UM. Wśród nich nasi koledzy — red. Halina Cywińska i Jerzy Panasiewicz (Express Ilustrowany), Małgorzata Karbowiak-Pawlak i Ewa Karwowska (Głos Robotniczy), Ewa Pankiewicz (Odgłosy) i Piotr Słowikowski (TV).

Uroczystość zakończył premierowy spektakl opery buffo „Il Maestro di Capella” w wykonaniu artystów Teatru Wielkiego.

Również 27 maja br. w Warszawie odbyło się wręczenie dorocznego nagród przewodniczącego Komitetu d.s. Radia i Telewizji za twórczość i działalność radiową i telewizyjną w roku 1982.

Wśród wyróżnionych znaleźli się również łodzianie: Nagrodę I stopnia otrzymał Józef Wojcieszek (PR Łódź), nagrody II stopnia Henryka Rumowska (OTV Łódź) i Jerzy Wozniak (OTV Łódź). Gratulujemy!



Jubileusze mają tę właściwość, że skłaniają do spojrzenia za siebie i dokonania analizy przebytej już drogi. Można zrobić to w samotności, w jakimś zaciszu — tylko na własny użytek. „Odgłosy”, które od 25 już lat towarzyszą mieszkańcom Łodzi i regionu łódzkiego, na swój jubileusz postanowiły zaprosić wszystkich czujących bliższy związek z piśmie, by wspólnie spojrzeć na niemały przecież dorobek ćwierćwiecza. Okazją do tego jest zorganizowana w Muzeum Historii Miasta Łodzi wystawa poświęcona 25-leciu „Odgłosów”, czynna od 28 maja do 11 czerwca br.

Na jej uroczyste otwarcie przybyło liczne grono Czytelników, wśród których m.in. znaleźli się członkowie wojewódzkich władz z I sekretarzem KŁ PZPR — Tadeuszem Czechowiczem i wiceprezydentem Łodzi — Zbigniewem Politem, a także przedstawiciele władz z województw: piotrkowskiego, sieradzkiego i skier-niewickiego, bratnich stronnictw ZSL i SD oraz Wojewódzkiej Rady PRON, jak również byli redaktorzy naczelni „Odgłosów”, współpracownicy, literaci, krytycy, naukowcy, dziennikarze, „Łodzianie Roku” wyłonieni w plebiscycie naszej redakcji.

— Nie byliśmy i nie jesteśmy w stanie pokazać wszystkiego — wyjaśnił na wstępie redaktor naczelny „Odgłosów”, Lucjusz Włodkowski, witając wszystkich przybyłych. — To tylko niewielka część tego, co przez te 25 lat działo się w piśmie. Przede wszystkim chcieliśmy pokazać ludzi, dzięki pracy i wysiłkowi których „Odgłosy” mogą obchodzić w tym roku swój jubileusz.

Słowa te były skierowane m.in. do pierwszego redaktora naczelnego „Odgłosów” — Wiesława Jazdyńskiego, który przypomniał, że na samym początku zespół redakcyjny liczył zaledwie sześć osób i „było to osobliwe małżeństwo dwóch środowisk twórczych: literackiego i dziennikarskiego. Sądziłbym, że ożenić te dwa środowiska, to wyjdzie z tego od razu świetne pismo. Muszę jednak powiedzieć, że tak nie było, ale „Odgłosy” są dzieckiem tych właśnie przede wszystkim środowisk. Nie wiem, czy są dzieckiem udanym, dobrze wychowanym, czy bardzo szczęśliwym. Wiem, że jest to dziecko twarde”.

W imieniu władz politycznych i państwowych gratulacje i pozdrowienia z okazji jubileuszu „Odgłosów” przekazał członek Biura Politycznego, I sekretarz KŁ PZPR — Tadeusz Czechowicz. (Tekst przemówienia drukujemy obok).

Następnie Andrzej Dyto, kierownik Wydziału Propagandy KW PZPR w Piotrkowie Trybunalskim, odczytał list I sekretarza KW, Stanisława Kolasa. (Treść listu również drukujemy obok). Życzenia jubileuszowe od prezesa RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Zdzisława Andruszkiewicza, przekazał wraz z własnymi Piotr Sagan, dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego. Życzenia od Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i kolegów dziennikarzy przekazał Zdzisław Strzpek.

Za wszystkie życzenia i gratulacje serdecznie dziękujemy! Jeszcze raz zapraszamy wszystkich naszych Czytelników do zwiedzenia wystawy.

Wystąpienie Tadeusza Czechowicza

Szczególne słowa uznania pragnę skierować do tych, którzy byli twórcami pisma, którzy w najtrudniejszych warunkach rozpoczęli pracę przy piśmie, konsolidowali zespół. Dokonywać oceny historycznej czasopisma jest niezwykle trudno. Były przecież, jak zawsze w życiu społecznym, politycznym, jak w każdym środowisku, różne okresy. Ale na przykładzie tej wystawy widać dobitnie, że w historii, w życiu każdej najmniejszej społeczności liczą się nie malkontenci, nie ci, którym się nie podobają, nie ci, którzy nie są nigdy z niczego zadowoleni, ale liczą się i na trwałe pozostają w pamięci, ci, którzy w sposób twórczy, związany z daną instytucją czy placówką, wnoszą do jej rozwoju nowe wartości. I chyba chlubą tego czasopisma jest to, że mamy tak bogatą plejadę ludzi, którzy na przestrzeni 25 lat — tak piórem, jak również i działaniami organizatorskimi — przyczynili się do tego, że pismo może święcić dziś swój jubileusz.

Przede wszystkim należy wyrazić uznanie tym wszystkim, którzy pracowali i pracują w piśmie, którzy w sposób umiejętny starają się kształtować szeroką kulturę artystyczną: literacką, muzyczną, plastyczną oraz wszystkie dziedziny życia kulturotwórczego w naszym województwie. Starają się stworzyć pomost pomiędzy ludźmi kultury i nauki a szeroko rozumianą klasą robotniczą. Wy jesteście nośnikami wszystkich tych idei postępowych, które powinny dotrzeć do jak najszerszych kręgów naszego społeczeństwa. Nie jest to sprawa łatwa i trzeba powiedzieć, że przed wami jest jeszcze dużo do zrobienia.

Należy życzyć piśmie, jak również i pozostałym łódzkim gazetem, ażeby były one ośrodkiem, który skupia lewicę społeczną naszego województwa i województw z nami współpracujących, żeby na łamach tych czasopism, a głównie „Odgłosów”, mogli się wypowiadać ludzie, którzy chcą zmieniać rzeczywistość. Nie tylko ją opisywać — albowiem proces rejestrowania, chociaż jest ważny, nie posuwa sprawy do przodu. Dlatego też istnieje potrzeba, aby wokół pisma skupiały się i współdziałały z nim wszystkie środowiska twórcze, organizacje społeczne, które postawiły sobie jako cel zasadniczy zmieniać nasze życie na lepsze.

Istnieje potrzeba, ażeby pismo szerzej odwoływało się do młodszej generacji naszego społeczeństwa. Oddajemy część i chwałę tym, którzy wnieśli do pracy tego pisma wiele, tym, którzy mają swój bogaty dorobek, ale trzeba poszukiwać młodych talentów, ludzi zaangażowanych twórczo. Pismo powinno być dla nich platformą, na której dochodziłoby do ścierania się poglądów w dyskusji, do wypracowywania tego, co może być lepsze dla naszej teraźniejszości i przyszłości.

I na zakończenie refleksja bardzo osobista. To dobrze, że pismo nie zmieniło swojej nazwy. Bo jeżeli ktoś poważnie traktuje swoją historię, to do tej historii musi zapisywać osiągnięcia, sukcesy, wznioły, ale musi zapisywać też i swoje porażki, klęski i z tego wyciągać wnioski. Chodzi o to, żeby tak jak w życiu: szczyścić się tym, co się osiągnęło najlepszego, ale w sposób krytyczny, analityczny, sensowny wyciągać wnioski również z porażek. Ja wierzę, że ten zespół, jak i rozszerzający się krąg współpracowników — a istnieje potrzeba zjednywania dalszych — jest w stanie pracować tak, ażebyśmy mogli w dalszym ciągu wierzyć w możliwości tego pisma, a w niedalekiej przyszłości szczyścić się i chlubić jeszcze większymi osiągnięciami. Tego wszystkiego całemu zespołowi w imieniu władz serdecznie życzę.

I SEKRETARZ
KOMITETU WOJEWÓDZKIEGO PZPR
W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM
ZESPÓŁ REDAKCYJNY
TYGODNIKA
SPOŁECZNO-KULTURALNEGO
„ODGŁOSY”
W ŁODZI

Z okazji 25-lecia tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy” w imieniu Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Piotrkowie Tryb. i swoim własnym składam Zespołowi Redakcyjnemu najserdeczniejsze gratulacje i wyrazy uznania.

„Odgłosy” obejmując swym zasięgiem i tematyką teren naszego województwa przez ćwierćwiecze swego istnienia wiernie towarzyszyły przemianom zachodzącym w życiu mieszkańców regionu piotrkowskiego.

Ukazujące się publikacje w sposób analityczny, niejednokrotnie nie pozbawiony cech krytyki, starały się pokazywać problemy nurtujące nasze województwo. Pragniemy Wam za to z okazji jubileuszu podziękować.

Mamy nadzieję, że w najbliższej przyszłości związki Zespołu Redakcyjnego „Odgłosów” z Województwem Piotrkowskim staną się jeszcze ściślejsze, że sprawy tego regionu znajdą jeszcze pełniejsze odbicie na łamach Waszego tygodnika.

Jako tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” wniosły duży wkład w rozwój życia kulturalnego naszego województwa, odegrały ważną rolę w kształtowaniu opinii społecznej środowisk inteligencji.

Pozwólcie zatem, że dziękując za dotychczasowe osiągnięcia, złożę Wam życzenia dalszego rozwoju pisma, satysfakcji z pracy dziennikarskiej, stałego powiększania grona czytelników i wszelkiej pomyślności w życiu osobistym całego Zespołu Redakcyjnego.
STANISŁAW KOLASA

Zespołowi i Redakcji tygodnika „Odgłosy” z okazji Jubileuszu 25 lat pięknej i znaczącej pracy wyrazy szacunku, wdzięczności i dalszej owocnej pracy życzą księgarze Łodzi i regionu łódzkiego.
STOWARZYSZENIE KSIĘGARZY POLSKICH
OKRĘGU ŁÓDZKIEGO

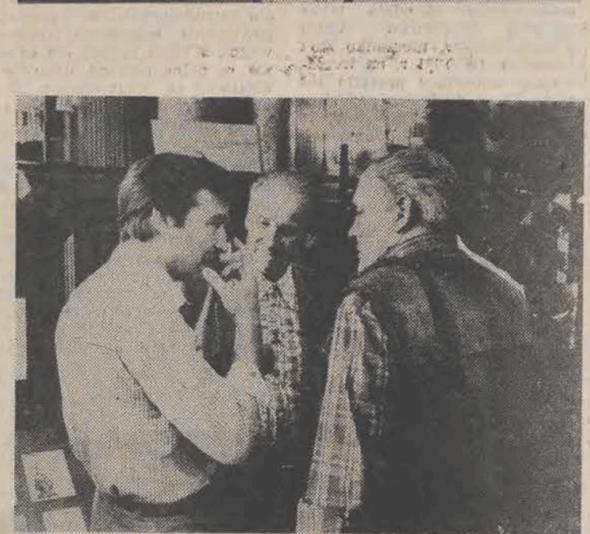
W związku z 25-leciem powołania do życia pisma społeczno-kulturalnego „Odgłosy” przesyłamy Towarzyszowi Redaktorowi oraz całemu zespołowi redakcyjnemu serdeczne gratulacje i życzenia dalszej owocnej pracy.

EGZEKUTYWA POP
ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Z okazji 25-lecia tygodnika „Odgłosy” Wydawnictwo Łódzkie składa najserdeczniejsze życzenia całemu Zespołowi Redakcyjnemu Waszego pisma, nierozdzielnie związanego z życiem kulturalnym Łodzi.

Wyrażamy jednocześnie głębokie przekonanie, że także w następnym ćwierćwieczu z dotychczasową pasją i zaangażowaniem będziecie uczestniczyć we wszystkich ważkich problemach naszego miasta.

DYREKTOR
REDAKTOR NACZELNY
JACEK ZAORSKI



Nowa sytuacja przedsiębiorstw w zreformowanej gospodarce, wynikająca z zasad samodzielności i samofinansowania powinna skłaniać podmioty gospodarcze do integrowania swoich działań w zakresie zatrudnienia z uzyskiwanymi przez nie efektami ekonomicznymi. Następnym tego procesu powinna być racjonalizacja zatrudnienia na drodze pozbywania się przez przedsiębiorstwa nadwyżek zasobów pracy oraz efektywniejsze wykorzystanie zatrudnionych. Tymczasem w minionym, pierwszym roku wdrażania reformy wystąpiło zjawisko, którego paradoksalność w świetle jej zasad polegała na tym, że z jednej strony wiele przedsiębiorstw, pomimo zmniejszenia rozmiarów produkcji, zgłaszało dodatkowy popyt na pracowników (w ankiecie na temat wdrażania reformy gospodarczej przeprowadzonej przez Konsultacyjną Radę Gospodarczą wiele przedsiębiorstw uznało trudności w pozyskaniu dodatkowej liczby pracowników za jedną z głównych barier w sferze zasilania przedsiębiorstw w czynniki produkcji, zob. Życie Gospodarcze 1982 r. nr 43), z drugiej zaś funkcjonowały przedsiębiorstwa, które — dysponując nadwyżkami zatrudnienia — nie pozbywały się ich.

Generalnie można powiedzieć, że miało to swoje uzasadnienie zarówno w kryzysowym stanie gospodarki, jak i w decyzjach wdrażających reformę gospodarczą lub umożliwiających jej wdrażanie, których skutki niekiedy okazywały się odmienne od zamierzonych. Wyraźnie widoczne jest to na przykładzie postanowień dotyczących zasad przejścia pracowników na wcześniejsze emerytury. Otóż, obawa przed powstaniem bezrobocia rynkowego, wynikająca z przeceniania szybkości wpływu mechanizmów reformy na likwidację przerostów zatrudnienia oraz niedostatecznego rozpoznania rynku pracy, doprowadziła do podjęcia decyzji, której skutkiem była dezaktywizacja zawodowa znacznej części osób mogących jeszcze uczestniczyć w procesach gospodarczych.

Spodziewano się, że na wcześniejsze emerytury odejdzie 100 — 150 tys. zatrudnionych, gdy tymczasem z możliwości tej skorzystało ponad 580 tys. osób, czemu sprzyjała także polityka dyrektorów wielu przedsiębiorstw, nierazko zbyt liberalna. (W 1981 r. na wcześniejsze emerytury przeszło 168 tys. osób, a do końca października 1982 r. 419 tys. osób, 76 tys. wniosków zatwierdzono odmownie). Wskutek przejścia na wcześniejsze emerytury znacznej liczby pracowników w niektórych przedsiębiorstwach powstała luka w zatrudnieniu. To pierwszy powód zgłaszania przez przedsiębiorstwa dodatkowego popytu na siłę roboczą.

Drugim jest wzrost **pracochłonności** w wielu przedsiębiorstwach w wyniku ograniczeń wizer kooperacyjnych, zastosowania zastępczych technologii, zmiany profilu produkcji spowodowanych trudnościami zaopatrzeniowymi, ograniczeniami inwestycyjnymi. Te ostatnie prowadzą do zahamowania procesów modernizacyjnych, zwiększenia ilości prac remontowych, co także może potęgować wzrost popytu na siłę roboczą.

I wreszcie, wydaje się, że stosunkowo mały udział kosztów robocizny w ogólnych kosztach wytwarzania sprawia, że **brak jest bodźców do oszczędności pracy** żywej i korzystniej jest zastępować droższe techniki kapitałochłonne tańszymi — pracochłonnymi.

Z drugiej strony w szeregu przedsiębiorstw występowały i występują nadal nadwyżki zasobów pracy zarówno w stosunku do osiąganych rozmiarów produkcji, jak i potencjalnych potrzeb. Wynikało to, jak się wydaje, z następujących powodów:

Po pierwsze — **trudności zaopatrzeniowe** przedsiębiorstw i wynikająca stąd nierytmiczność produkcji, okresowe jej ograniczenia prowadziły do tego, że nie pozbywano się pracowników, utrzymując stan załogi na wypadek gdyby sytuacja u-

legła poprawie oraz w obawie, że się ich nie pozyska w chwili powstania możliwości produkcyjnych.

Po drugie — w szeregu przedsiębiorstw przetrzymywano pracowników „grając na zwłokę” na wypadek, gdyby **reforma miała się nie udać**. Było to możliwe, gdyż w pierwszej fazie jej wdrażania brak było dostatecznie silnych mechanizmów wymuszających na przedsiębiorstwach racjonalizację zatrudnienia. Procesu tego nie ułatwiały także zasady działania funduszu aktywizacji zawodowej, co więcej, umożliwiały one istnienie, opisanej wyżej sytuacji; z większego stanu zatrudnienia płynęły dla przedsiębiorstwa określone korzyści w postaci mniejszych obciążeń na funduszu. **Niezbędna jest zatem korekta zasad funkcjonowania FAZ i dobrze się stało, iż w bieżącym roku nastąpiła zmiana jego działania.** (Odstępuje się od zasady ustalania obciążeń na funduszu w zależności od poziomu średniej płacy).

STANISŁAW MACIEJ SZUKALSKI

Gdy brakuje ludzi do pracy

Po trzecie — zdolności adaptacji przedsiębiorstw do kryzysowych warunków funkcjonowania bez konieczności racjonalizacji zatrudnienia sprzyjały także postanowienia Komitetu Gospodarczego Rady Ministrów liberalizujące wymagania **zasady samofinansowania**. Miały one na celu przejściową ochronę tych przedsiębiorstw, które zgodnie z działaniem nowego systemu musiałyby upaść (ze wszystkimi konsekwencjami dla zatrudnionych w postaci powiązania bezrobocia rynkowego), a które jednak nie zawsze w pełni ponoszą odpowiedzialność za wcześniejsze decyzje i wynikające stąd obciążenia finansowe.

Po czwarte — podobny skutek wywołało wprowadzenie przez banki z pewnym opóźnieniem nowych **zasad kredytowania przedsiębiorstw**, które zaczęły obowiązywać od II kwartału 1982 r. oraz „miękkie” ich stosowanie (z przyczyn przedstawionych wyżej). Oznaczało to, że zasada samofinansowania praktycznie w pierwszych

miesiącach nie działała, a przedsiębiorstwa były finansowane na zasadzie kredytu otwartego, co sprzyjało utrzymaniu zatrudnienia pomimo obniżenia rozmiarów produkcji. Dopiero w drugim półroczu negocjowano i podpisywano umowy kredytowe z bankami. Nowe zasady finansowania przedsiębiorstw są rewolucyjne wobec stosowanej dotychczas zasady automatycznego kredytowania. Aby jednak system ten spełniał warunki, do jakich został powołany, muszą być ściśle przestrzegane jego zasady.

W świetle powyższego słuszny wydaje się być pogląd, że wobec specyficznych warunków funkcjonowania gospodarstwa w minionym roku proste porównanie rozmiarów zatrudnienia z rozmiarami produkcji jest zawodne. Niemniej jednak należy oczekiwać, że wraz ze stabilizowaniem się i poprawą sytuacji gospodarczej kraju nastąpi oczekiwana racjonalizacja zatrudnienia jako naturalny skutek działania mechanizmów reformy. Proces ten

Przemieszczenia, przez które rozumiemy masowy i zorganizowany ruch pracowników między poszczególnymi sferami działania gospodarki, w przeciwieństwie do spontanicznych ruchów zasobów pracy wynikających z określonych preferencji indywidualnych, miały stanowić istotną cechę charakteryzującą rynek pracy w pierwszym etapie funkcjonowania reformy. Rzeczywistość okazała się jednak inna. Szacunki wykazują, że przesunięcia w zatrudnieniu były niewielkie, trudno je nazwać, zgodnie z przedstawioną wyżej definicją, przemieszczeniami. Dla przykładu, według szacunków Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych liczba osób zwolnionych w trybie Uchwały 169 na skutek likwidacji zakładu lub stanowiska pracy wyniosła w ub. roku ponad 50 tys. (Życie Warszawy, 6. 12. 82). W większości przypadków osoby te znalazły zatrudnienie w innych przedsiębiorstwach gospodarki uspołecznionej.

Wydaje się, że w najbliższej przyszłości nie należy spodziewać się **masowych przesunięć zasobów pracy w gospodarce**, ale raczej powolnej i systematycznej zmiany struktury zatrudnienia pobudzanej mechanizmami reformy gospodarczej jak i zmianami wynikającymi z ogólnych prawidłowości struktury zatrudnienia na tle tendencji rozwoju gospodarczego. Oznacza to zmianę sektorowej struktury zatrudnienia na korzyść sektora usług kosztem przemysłu i rolnictwa. Obecnie Polska należy do krajów o stosunkowo niskim udziale sektora usług w globalnej liczbie zawodowo czynnych. Wynosi on 32 proc. To wiele mniej aniżeli w NRD (40 proc.), ZSRR, CSRS (41 proc.) oraz w takich krajach kapitalistycznych jak Portugalia (39 proc.), Hiszpania (45 proc.), Francja (52 proc.). Do 1985 r. zakłada się wzrost udziału zatrudnienia w usługach do poziomu 35 proc. Osiągnięcie tego wskaźnika oznacza, że **do usług w latach 1982 — 85 musiałoby przejść około 500 tys. osób**. Nie wydaje się to zupełnie możliwe, choć niewykluczone.

Generalnie teza o przesunięciu zasobów pracy do usług nie budzi zastrzeżeń. Do jej potwierdzenia skłania nas fakt, że w wyniku ograniczeń inwestycyjnych, dekapitalizacji majątku produkcyjnego wzrastać będzie zapotrzebowanie na usługi remontowe, naprawcze. Trudności życia codziennego wynikające z kryzysowej sytuacji i niedostatku nowych dóbr mogą przyczynić się do zwiększenia popytu na usługi, a w ślad za tym do wzrostu zatrudnienia w tym sektorze. Wątpliwość natomiast — wobec sytuacji na rynku żywnościowym — może wywołać teza o odpływie zasobów pracy z rolnictwa do usług.

Wydaje się, że w najbliższych latach **nie należy spodziewać się zasadniczego spadku liczby zawodowo czynnych w rolnictwie**. Na przeszkodzie stoi zarówno struktura polskiego rolnictwa (jego w dużym stopniu jeszcze drobnotowarowy charakter) jak i niskie techniczne uzbrojenie pracy oraz mała substytucyjność pracy żywej przez pracę uprzedmiotowioną. Wzrastać powinno natomiast zatrudnienie w usługach świadczonych na rzecz rolnictwa, wobec, pomimo sformułowanych wyżej zastrzeżeń, wzrostu poziomu jego technicznego wyposażenia.

Kolowrotek i kopiarka

Niedaleko ulicy Kilińskiego, na Nowotki, mieści się jeden z najpopularniejszych zakładów produkcyjnych Łodzi — posiadający wieloletnią tradycję, praktycznie monopolista w dziedzinie zaopatrzenia kin w aparaty projekcyjne.

Łódzkie Zakłady Kinotechniczne od lat marzyły zawsze o samodzielności. Nic w tym dziwnego. Posiadają bowiem zgraną, utalentowaną kadrę konstrukcyjną, dobry dział techniczny i wielką ambicję produkowania nie tylko tradycyjnych urządzeń, lecz również wszelkich mechanizmów, jakie bogata myśl twórcza stworzy.

Nie zawsze jednak popularne LZK nosiły nazwę, do której są tak przywiązane. W latach 70 ówczesne Zjednoczenie PREDOM zażyło sobie bardziej enigmatycznej nazwy: **Łódzkie Zakłady Kserotechniczne — PREDOM**.

Wówczas na czele Zakładów stał dyrektor inż. **Stefan Jabłoński** — postać kontrowersyjna. Głośno było o tym, że posiada „płecy” u ówczesnego ministra przemysłu maszynowego, a następnie wicepremiera **Wrzaszczyka**. Zresztą inż. Jabłoński wcale tego nie ukrywał.

Gdy odbywało się posiedzenie konferencji samorządu robotniczego, wówczas dyrektor — zwany popularnie **Funio** — chodził sobie wzdłuż sali, a gdy się nieco zdenerwował, rzucał „mieśm”. Na ogół dotyczyły obelżywe zwroty niektórych zwierzchników ze zjednoczenia, ale bywało, że ordynarne wyzwiska były kierowane do osób obecnych na sali.

Jednak **Stefan Jabłoński** był dyrektorem co się zowie. Przynajmniej pod jednym względem. To paradoks, ale prawda. Potrafił bowiem przeciwstawić się, wykorzystując ściśle listą chętności, zakupom zupełnie zwiariowanych licencji — wierzył bowiem w zdolności działu konstrukcyjnego, a poza tym uważał, że zakłady nie mogą być producentem wszelkiego rodzaju śmiecia, którego zbyt stawał pod ogromnym znakiem zapytania.

Sam brałem udział w chytrym marketingu podgrzewacza samochodowego szwedzkiej firmy **Monark-Crescent**. Zakup licencji nakazano ogólnie, tylko że podgrzewacz... doskonale nadawał się na warunki polarne. Oczywiście, w wyniku marketingu wszystkie zapytane firmy odpowiadały odmownie. No, bo po co Miejskiemu Zakładom Komunikacyjnym w Warszawie, Łodzi czy Poznaniu jakiś podgrzewacz, skoro temperatury zimowe nie spadają poniżej 30 stopni.

Zjednoczenie było niespożyte w coraz bardziej sensacyjnym pomysłach. Zaproponowało mi mniej ni więcej, tylko produkcję elektrycznych noży do przycinania żywoptłotów. Zupelnie tak, jakby w Polsce każdy obywatel posiadał jednorodzinna willę otoczoną pięknym żywopłotem. W tym wypadku wystarczyłoby badać tylko uderzenie pięścią w stół i krótkie „w żadnym wypadku”. Ale pomysły za biurkami PREDOM rozdziły się jak grzyby po deszczu. Tylko, że **Stefan Jabłoński** wraz z zespołem doradców i zastępców przeciwstawił się tym bajkowym koncepcjom.

Dyrektor **Jabłoński** musiał odejść — wprowadzić po wyprowadzeniu już Łódzkich Zakładów Kinotechnicznych z monstrualnego zjednoczenia, po podporządkowaniu zakładów skromniutkiem i nie wadzącemu Zjednoczeniu OMELE i po powrocie do dawnej tradycyjnej nazwy firmy.

Obecnie, na stanowisku naczelnego znajduje się **mgr inż. Gasek**, którego droga do kierowania LZK była długa. Początkowo zajmował stanowisko głównego mechanika, później został trzecim zastępcą... Jest to człowiek układający bezkolizyjnie pracę z organizacjami, przedstawicielstwem załogi, robotnikami produkcyjnymi, który piekielnie nie lubi zalewu papierków.

Jedną z poprawdy sensacyjnych rzeczy w LZK jest muzeum zakładowe. Być może, inne przedsiębiorstwa posiadają podobne izby tradycji, ale to, co się ogląda w LZK, bije wszystkich na głowę estetyką, dobrym smakiem i przede wszystkim pieczołowicie zebranych eksponatami. Tutaj właśnie widzimy starejki projektor AP-5, pierwszy wyrób LZK, od wielu lat już zapomniany. Ważna informacja: inicjatorem muzeum była egzekutywa Podstawowej Organizacji Partyjnej, a duszą i generalnym wykonawcą — człowiek obdarzony wielkim talentem plastycznym (był on również twórcą znaku firmowego). Piszę tutaj o byłym i sekretarzu, **Jerzym Trubasie**.

Na początku lat 70 w LZK, na Wydziale Optyki wybuchł krótkotrwały strajk. Była to niewątpliwie chwila tragiczna, tym bardziej, że nie tyle chodziło o warunki pracy, ile o zwycajną „rozróbkę”. Młody człowiek został usunięty z zakładu, przyszedł jednak na wydział, gdzie urządził historyczną awanturę, podbijając litosciwe serca kobiet. Obecnie Wydział Optyki jest oczkiem w głowie dyrekcji. Trudno powiedzieć, aby tam były warunki pracy najtrudniejsze. Raczej dotyczy to Oddziału Sprzętu Reprograficznego. Dlatego też cały zarząd stara się o ulepszenie pracy na tym właśnie oddziale.

Sprawa najistotniejsza — produkcja. Jeszcze w latach 70 produkowano w dużej ilości kserografy, z których jeden **KS 4** otrzymał w Lipsku złoty medal. Również popularny był rzutnik „Diaprex”. Kierownictwo słusznie uważa, że to już sprzęt przestarzały. Idzie za ciosem i daje na rynek i eksport to właśnie, co jest najbardziej poszukiwane.

Ważny chociaż taki rzutnik „Ania”, produkt dla dzieci, dla szkół. Myślę się ten, kto sądzi, że jest to tradycyjny „wyswiałacz” slajdów. Za pomocą „Ani” wyświetla się krótkie bajki utrwalone na taśmie filmowej. Obok tego rzutnika produkowany jest również droższy „Profil”.

Podstawowa jednak produkcja LZK są projektor filmowe o symbolu AP-621 HW. Są to zminiaturyzowane w stosunku do dawniej używanych projektorów 35-milimetrowe — podstawowe urządzenie kinowe do wyświetlania filmów.

Ostatnim krzykiem mody, doskonale konkurującym z zachodnimi urządzeniami, jest uniwersalna kopiarka kserograficzna typu **UK-500**. Jest to urządzenie szczególne: oznaczone do wykonywania kopii jednostronnych lub dwustronnych z oryginałów czarno-białych i kolorowych, arkuszowych i zbroszurowanych.

LZK wygospodarowały pomieszczenie na własny sklep fabryczny. Wszystko dla klienta. Pod tym też hasłem na monitach szkół zareagowano podjęciem produkcji projektorów 16-milimetrowych, niewielkich, poręcznych, o symbolach AP-40 i AP-41.

Produkcją uboczną LZK jest uniwersalna obrabiarka do drewna. Każdy majsterkowicz o takim czymś marzy. Produkują też kolowrotek wędkarski.

Od lat pracownicy rentgenologiczne służby zdrowia narzekają na brak suszarek do zdjęć rentgenologicznych. Łatwo sobie wyobrazić: jak długo trwa wykonanie zdjęcia: od aparatu rtg aż do wreczenia gotowej kliszy pacjentowi, gdy suszy się zdjęcie metodą wachlowania w powietrzu. Konstruktorzy LZK myślą nie tylko technicznie — również humanitarnie. Dlatego skonstruowali i rzucili na rynek nowoczesną suszarkę do zdjęć rtg.

ROBERT GLUTH



Kiedy fabryce grozi zamknięcie

Gdziekolwiek jestem zawsze powracam do mojego miasta, którym zacięto mnie życie na dobre i na złe. Mówię o Łasku, nieadw. powiecie, dziś stojącym na ubożu w ważności administracyjnej hierarchii. Kto pamięta Łask z pierwszych lat powojennych? Kto pamięta „Krytykę” na jego placach i ulicach przepelnione rysztyki, światełkujące się przed domami w cuchnących bajorach krowy stadami wracające z pastwisk wieczorem? I kto pamięta amok i euforie towarzyszące pierwszym budowlom zakładów przemysłowych? Kto dziś, w mieście nowym i unstronżym standardowymi blokami, wraca do dni nadziei i radości, do dni nieśmiałego podniecenia, marzeń o wielkiej szansie? Tak było kiedy zakładano fundamenty pod „Wólczankę”, pod fabrykę mebli i tak było dwadzieścia lat temu, kiedy w pobliskich lasach koło wsi Teodorzy zaczęto kopać pierwsze rowy i moście drogi dojazdowe do zakładu, o którym nikt w okolicy nie miał nawet pojęcia. Jedno było pewne: dla kilku setek ludzi będą nowe miejsca pracy!

Okolice Łasku od niepamiętnych czasów słynęły z wypalanej cegły. Cegielni było sporo, niektóre pracowały przez okazyjne lata, inne jedynie w sezonie letnim. I nagle, sensacja! w Teodorach będzie się robić cegła biała! Na dobrą sprawę nikt nie wiedział co to takiego, a ponieważ wręcz upatrywali w tym, jeśli już nie śnie niezyska, to bodaj technologiczną nowinkę, która niezłego obręba ludziom nie przyniesie! Śmiałem jak rozpowszechniać no podkład, że w domach z takiej cegły gnieźdzą się wszelkiego rodzaju insekty i pasożyty, że mieszkańcy zapadają na nieuleczalne choroby i szybko schodzą z tego świata. Przecież wiadomo, że taka cegła nie trzyma ciepła i wydziela substancje szkodliwe. Popatrzyli — mówiono — na stare domy. Mocna, czerwona, dobrze wypalona cegła trzyma się kilka stuleci i niczym nie różni się od świeżej. Przez nią przeszedł ogień, żar, okrutny stygła powoli, stopień po stopniu, aż stała się czysta, mocna i dziewicza. I twarzą jak śnie ma ziemia, na której może związać zaprawa, stać przez setki, a może tysiące lat.

Takie były głosy obok tych euforycznych, entuzjastycznych i przepelnionych nadzieją. Kiedy zamierzalem napisać kolejny raport za Łasku, zadzwonił do mnie sekretarz do spraw organizacyjnych i propagandowych tamtejszego Komitetu Miejsko-Gminnego partii JUREK GRZELA i powiedział, że popularne „Silikaty” w Teodorach zdobyły czołową lokatę w kraju i jak wynika z opinii resortu są potentatem krajowym w produkcji cegły wapienno-piaskowej.

Początkowo pomysłalem, że chłopak chce, abym napisał jakas laurkę o Sieradzkim Przedsiębiorstwie Ceramiki Budowlanej mającym swoją siedzibę w Łasku Rychło jednak sobie przypomniałem, że przecież Jurek jest absolwentem Pomaturalnego Studium Ceramiki Ogólnej, podobnie jak tegożona i że przez dziesięć lat pracował w „Silikatach” na hali produkcyjnej. To stamtąd jako delegat, trafił na konferencję sprawozdawczo-wyborczą partii w Łasku w 1981 r. i opuścił sale jako sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego. Ale w „Silikatach” pozostała żona, wierz wiązki są nadal ścisłe i mocne.

— Pewnie chcesz, abym ochwalał „Silikaty”?

— Chwalić jest za co, to prawda. Nie wiem jednak, czy wiesz, że grozi nam zamknięcie produkcji?

— Za dużo mamy domów czy jak?

— Wracz przedwornie Cegły silikatowych także ciągle pracuje. Natomiast jeśli nie się nie zmieni, za kilka lat nie będziemy mieli z czego wyrobić białej cegły.

— Aż tak źle?

— Przyjdzie, sam się przekonasz.

Pojechalem Dyrektora ZBIGNIEW POPRAWSKI kładąc przede mną stos dokumentów wyluszcza swoje ranie i mówi o planach na najbliższe lata Sucham i potuje.

Cegielnie, Przedsiębiorstwo w ciągu jednego roku produkuje 100 mln jednostek ceramicznych i 10 mln rurek drenars-

kich. Podległych 14 zakładów jest podzielone na dwa rejon: rejon wieloński, o produkcji całorocznej adzie na bardzo dobre surowce (tę juraskie) oraz rejon łaski, mający produkcję sezonową. W rejonie wielońskim są cegielnie w Mokrosku (turki drenarskie i cegła pełna) Ożarówku (cegła budowlana krawatkowa, a także na specjalne zamówienie robi się cegły cegły gotycka przeznaczona do konserwacji zabytków zarówno krajowych jak i zagranicznych). Chotowiec (krawatkowa i turki drenarskie) i w Krzyworzeczce (cegła pełna). Natomiast w rejonie łaskim w cegielniach znajdujących się w Krobanowie i Krobanówku, a także w Rossoszczy, Łosatkach i Nowym Mieście wypala się cegła pełna. Dędkatowo w Krobanowie produkowane są pustaki „alfa”. W Chechle produkuje się supreme, w Wymysłowie — pustaki, w Mostkach — supreme i pustaki. Ostatnie trzy zakłady — to stare cegielnie, które w niedługim czasie zostaną przekwalifikowane, bowiem zaczyna brakować surowca. Po prostu wyzerpał się cały zapas gliny.

Jeśli można mówić o przyszłości cegielni całorocznych, to sezonowe, stoją przed poważnym problemem dalszej swojej egzystencji. A zaobserwowanie na cegle, surowie i turki drenarskiej rośnie w tempie zawrotnym.

— Naprawdę chce pan je zamknąć? — pytam dyrektora

— A co mam robić? Cegielnie te pracują w sezonie, a w sezonie nie ma ludzi do ich obsługi. Kto dziś chce tyrać w takich warunkach za 9 tysięcy?

— Co to za warunki?

— Tam się pracuje ciągle i ciężko i ciężko. Cegły wybiera się, gdy w piecu panuje temperatura 60°C, a jeśli jest to zima, na zewnątrz -10°C. Robotnik musi wejść do pieca, załadować taczki i wyjść na mroź, by te cegły złożyć. Kto to wytrzyma?

— Nie ma mechanizacji?

— W starych cegielniach nie ma. Przy maszynach ucinać zatrudnia się zazwyczaj kobiety, by obsługiwały surowe cegły z maszyn. Proszę sobie wyobrazić, że dwie kobiety też nie odciążają z maszyn jedną cegła ważącą w stanie surowym 7 kg. Dziennie przenoszą one średnio 10 ton ciężaru. Kto dziś na to się zgodzi? Tak produkowano sto lat temu i dawniej, ale nie dziś.

— Pan jest dyrektorem więc zamiast narzekać, powinni pan coś z tym zrobić.

— Te sytuacje mogą uzbroić jedynie nowe inwestycje. Trzeba budować nowoczesne zakłady z piecami tunelowymi, z pełnym procesem mechanizacji. Inaczej kłóregoś dnia nie będziemy mieli cegły.

— Bedzie pan budować także cegielnie?

— Oczywiście. Jest to proces na długie lata. Mam już plan na modernizację tradycyjnych cegielni i mam już pieniądze. Zaczniemy od pieców: zamiast tradycyjnego Hoffmanowskiego będziemy robić tunelowe. I od razu wzrośnie nam dwukrotnie produkcja osiemniem w niedalekiej przyszłości 22 mln sztuk.

— A „Silikaty”?

— To zupełnie inna sprawa. Zatem przywrócimy się tej zupełnie innej sprawie. Bujowe Zakładu Wapienno-Piaskowego w Teodorach pod Łaskiem rozpoczęło gdzieś w 1960 roku a dwa lata później budownictwo otrzymało 40 mln jednostek ceramicznych czyli po prostu cegły silikatowej. W ciągu dwudziestu lat produkcja piela się ku górze jak gorączka na wykresie choroby na nieuleczalna choroba. Do choroby jest zaiste nieuleczalna, test nie potrzeba coraz to nowych i nowych mieszkań. W dniu swego jubileuszu zakład w Teodorach złożył meldunek, że wyprodukował w 1982 r. 87 mln jednostek ceramicznych. W tym roku będzie już tych milionów 70. W sumie z Teodorów wywieziono 1 miliard 931 tysięcy białej cegły (na wybudowanie domu jednorodzinnego potrzeba ośmiem 40 tys. cegły). Z tego można łatwo obliczyć, że takich domków powstałoby 34 800.

Statystyka ogłasza, że Kierownik zakładu (który to już z kolei?) KAZIMIERZ PEREK powiada, że dla takiej cegły musi być specjalny piasek: kwarcowy o zawartości krzemionki powyżej 90 proc., drobnoziarnisty. Taki piasek jest pod ręką. Przynajmniej był

kiedy powstawał zakład Górki Dobrońskie ciągnie się kilkanaście kilometrów od Teodorów aż do Dobrońki do toru kolejowego. Obliczono, że piasku jest tu 5,5 mln metrów sześciennych. Można z niego wyprodukować 2 miliardy jednostek ceramicznych. Ale piasek się kończy. Jeszcze jakieś dziesięć lat i na bramie zakładu powieści się kłódki.

Ponownie wrócić do własnych wspomnień. Kiedy zapadła decyzja, że Górki Dobrońskie zostaną zlikwidowane, ludzie zaczęli się oburzać. Jak to? Taki las przeznaczyć na zagładę? Zniszczyć łatwo, ale czy łatwo wyhodować drugi? Las to nie tylko piękno, ozdoba krajobrazu i runo, ale to także istotny czynnik regulacji wilgotności w terenie.

EUGENIUSZ IWANICKI

Miłość ma kolor bieli i zieleni

Przeważyli racje wyższe. Las skazano na śmierć. Po dwudziestu latach zaszła konieczność dalszej wycinki, by już teraz przygotować teren do eksploatacji. Zwrócono się w tej sprawie do Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. Było to dwa lata temu. Odpowiedź nadeszła obszerna, wszakże z jednym zastrzeżeniem:

„Jednocześnie uprzejmie informuję — pisał podsekretarz stanu — że nie znajduję uzasadnienia do przeznaczenia na cele nierolnicze i nieleśne pozostałych wioskowanych ok. 43 ha gruntów leśnych z uwagą na to, że leżą one w obrębie obszaru chronionego krajobrazu, a część z nich zaliczana jest do lasów ochronnych (tzn. I grupa lasów) spełniających szereg funkcji pozaprodukcyjnych. Przeznaczenie ich na inne cele niż leśne byłoby sprzeczne z przepisami ustawy o ochronie gruntów rolnych i leśnych, i ustawy o ochronie i kształtowaniu środowiska.”

Ta odpowiedź postawiła przedsiębiorstwo ceramiki budowlanej przed nie lada problemem: co dalej? A więc ponownie pismo do Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego pełne racji nadrzędnych i ponowna odpowiedź, z marca 1983 r.:

„W odpowiedzi na pismo Ob. Wojewody w sprawie przeznaczenia ok. 26 ha p.g.l. w Nadleśnictwie Kolumna pod eksploatacją piasków kwarcowych przez Sieradzkie Przedsiębiorstwo Ceramiki Budowlanej w Sieradzu — uprzejmie informuję, że zająłem w tej sprawie negatywne stanowisko w decyzji z dnia 30 września 1981 roku Nr P-1-B-2120/45/81 i obecnie nie znajduję uzasadnienia do jego zmiany.”

Ta odpowiedź spowodowała bezsenność zarówno w dyrekcji przedsiębiorstwa, jak i u

skąd wybrano piasek, nowy las. Nie wyrasta on co prawda takim maszem jak jego zniszczony poprzednik, bo rośnie kępami, ale, tak twierdzi się w zakładzie, jest to las mocniejszy, bo rośnie dużo niżej na poziomie pozostałych chłopskich gruntów, przez co ma bliżej do wody podziemnej, po drugie — w „Silikatach” pracuje sporo ludzi, niektórzy z nich już dwadzieścia lat, sporo za rok, dwa wybiera się na emeryturę.

Rozmawiałem z tymi weteranami, z tymi, którzy dwadzieścia lat temu, wybierali pierwsze grudy ziemi i ciągnęli kabla elektryczny.

ZBIGNIEW PEREK — starszy mistrz produkcji: — Jak pan trafił do „Silikatów”?

— Na początku lat sześćdziesiątych znalazłem się przed życiową szansą: w Teodorach rozpoczęła się wielka budowa. Poszedłem. Było nas początkowo 13 osób.

— Co pan wówczas robił?

— Tu był las i pustka. Zaczynaliśmy od fundamentów pod biurowiec, potem pod hale produkcyjne, pod mieszkania dla przyszłej załogi. Układaliśmy drogi dojazdowe, wznośiliśmy fundamenty.

— Jakiego miał pan kwalifikacje?

— Dopiero je zdobywałem. Kiedy zakład ruszył, kiedy zaczęto zwozić pracowników, przeniósłem się do miynów, do młynów przy mieniu wapna. Wkrótce zostałem brygadziarzem na produkcji, a kiedy powołano u nas trzecią zmianę awansowałem na mistrza produkcji.

— A wykształcenie fachowe?

— Szkoła mistrzów w Krotoszynie.

— Dwadzieścia lat to spory czas do obserwacji...

— Proszę pana, ja tu prze-

żyłem 6 dyrektorów przedsiębiorstwa i aż 12 kierowników zakładu. Opowiadać by o opowiadać... ZYGMUNT PIKIELNY — brygadziarski elektryk: — Zaczynał pan razem z Pyrklem?

— Tak, w 1960 roku wraz z brygadą elektryków.

— Jak to były lata dla pana?

— Dobre. Wtedy nie wiedziałem co to znaczy brak materiałów i narzędzi. Każda rzecz była dostępna i w zasięgu ręki.

— Jak się pracowało w tamtym, pionierskim, okresie?

— Myśle, że coś w nas wtedy było, czego nie ma obecnie młodzież. Pamiętam w 1981 roku wigilie. Kończyliśmy akuraty montaż oświetlenia technicznego zakładu. Spędziłem się, a tu jak na pacie wszystko się ślimaczy. Mówi porządy, noc i gwiazdy, a my ciągle siedzimy na słupach, ciągnemy druty, wieszamy o-prawy. Dyrektor stoi na dole, marznie, ale trzyma się, zachęca. Mówi, chłopaki, musi oświetlenie być i basta. Przymaraliśmy do tych słupów i haków. Ale to, co wtedy zrobiliśmy, stoi do dziś i funkcjonuje.

— A co w pańskiej pracy było najprzyjemniejsze?

— Nie uwierz pan, ale rozruch zakładu w 1962 roku, kiedy za naciśnięciem guzika wszystko nagle ruszyło, zaczęło żyć. Wtedy rozumiałem, że moja praca była akuratna i dobra, że jako elektryk zdam egzamin.

— Jak pan ocenia dzień dzisiejszy?

— Dziś nie mamy czasu na konserwację, bo zakład idzie na cztery zmiany. Dopiero jak coś ostatecznie nawali, zabieramy się do roboty. Słyszymy tylko: plan, plan, plan. Pedziemy, gdzieś się spieszymy, nie mamy czasu na porządy odciecz. Gdyby chociaż były częściej zamienne...

Plasku obok zakładu jest jeszcze na lat dziesięć, ale nie można z niego korzystać. Zamówień na białą cegła napływa coraz więcej. W I kw. br. planowano uzyskać ze sprzedaży 130 mln złotych, a uzyskano 151,6 mln. — Zapotrzebowanie gwałtownie rośnie. Każda ilość, jeszcze gorzej cegły, zabierają nabywcy. Z zakładu wyjeżdżają samochody, nad którymi unosi się biała para: to stęgnięte dopiero co wietrza z kominów cegła. Jeszcze nie tak dawno robiono tu tzw. cegły młotkowane dla szwedzkich odbiorców. Z niej układano elewacje zewnętrzne domów.

Z jednej strony groźba zaprzestania produkcji, z drugiej świadomość, że na cegle z Teodorów czeka budownictwo. Dlatego też zakład modernizuje się, dokonuje się w nim usprawnień. Niedługo ruszy trzeci kocioł parowy technologicznej. Niby drobiazg, ale trzeba pamiętać, że jeden z pierwszych kotłów jest produkcji zachodniemieckiej i pracuje już dwadzieścia lat. Staruszek goni resztkami siły i ciepła. Ale na dobrą sprawę niemal wszystkie urządzenia w „Silikatach” są stare, często prototypowe, bo zakład w Teodorach był jednym z pierwszych, o ile nie pierwszym tego typu w kraju. To tutaj, w lasy pod Łaskiem, przyjeżdżali na naukę Rosjanie, Francuzowie, Egipcjanie, Węgrzy i Bułgarzy, nie mówiąc o całej krajowej kadry „silikaclarzy”. To stąd fachowcy wleźdźali i wyjeżdżali za granicę szkolić innych i budować zakłady białej cegły. O „Silikatach” z Teodorów mówi się jako o poligonie doświadczalnym polskiej cegły wapienno-piaskowej.

Jurek Grzela zapraszając mnie do odwiedzenia Sieradzkiego Przedsiębiorstwa Ceramiki Budowlanej chciał, jako były wieloletni pracownik produkcyjny zakładu w Teodorach, abym spojrział na racie obu stron (ministerstwa i zakładu) z bezstronnością pułkisty. Ale ja moja bezstronność nie da sobie rady, recytuję, nie podsumuję rozwiązania. Jestem przecież za tym, aby w Polsce było jak najwięcej mieszkań, a jednocześnie i za tym, by ludzie mieszkający w tych mieszkaniach mogli po pracy chodzić na spacer do sosnowych lasów. Człowiek musi być w zgodzie ze swoim naturalnym środowiskiem, bo sam jest jego nieodłączną częścią.



Wiersze dla dzieci

Konstanty

Ildefons

Galczyński

Sen psa

Na polu kalafioru,
na całe życie dość.
Kalafior każdy spory
i w każdym rośnie kość.
Więc podjem znakomicie
aż po żołądka kres,
o, piękne, piękne życie,
o, piękny, jestem pies!

Przechodzę do alkowy,
w alkowie stoi stół,
ma czworo nóg — wolowych,
wędzonych w dymie ziół.
Pożeram wszystkie nogi,
zostaje tylko blat,
o, mój żywocie błogi,
o, piękny, piękny świat!

Po łączce chodzą krówki,
słownie: sześćdziesiąt sześć.
Podchodzę, to parówki,
gorące, tylko jeść!
Parówki autentyczne,
kilometrowy zwój,
o, chwile niebotyczne,
o, piękny świecie mój!

Na wzgórkach stoi lasek,
a w lasku pachnie wrzos,
ten laszek też z kielbasek
i widzę: wrzos to sos.
Więc cały laszek wcinam,
rozlewam wrzos do waz,
och, cudna to godzina,
och, niesłychany czas!

Już jesień jest niestety,
deszcz chlupie chlup-chlup,
spadają z drzew kołki,
a wszystkie do mych stóp.
Tłuszczy przyska mi na rzęsy,
sztukamię pędzi wiatr.
Wieprzowy wschodzi księżyc,
zbaraniał cały świat.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Julian Tuwim

Lokomotywa

Stoi na stacji lokomotywa,
Ciężka, ogromna i pot z niej sływa —
Tłusta oliwa.
Stoi i sapie, dyszy i dmucha,
Zar z rozgrzanego jej brzucha bucha:
Buch, jak gorąco!
Uch, jak gorąco!
Puff, jak gorąco!
Uff, jak gorąco!

Już ledwo sapie, już ledwo ziępie,
A jeszcze palacz węgiel w nią sypie.

Wagony do niej podoczekali
Wielkie i ciężkie, z żelaza, stali,
I pełno ludzi w każdym wagonie,
A w jednym krowy, a w drugim konie,
A w trzecim siedzą same grubasy,
Siedzą i jedzą tłuste kiełbasy,
A czwarty wagon pełen bananów,
A w piątym stoi sześć fortepianów.
W szóstym armata, o! jaka wielka!
Pod każdym kołem żelazna belka!
W siódmym dębowe stoły i szafy,

W ósmym stoń, niedźwiedź i dwie żyrafy,
W dziewiątym — same tuczone świnię,
W dziesiątym — kufy, paki i skrzynie,

A tych wagonów jest ze czterdzieści,
Sam nie wiem, co się w nich jeszcze mieści.
Lecz choćby przyszło tysiąc atletów
I każdy zjadłby tysiąc kotletów,
I każdy nie wiem jak się wyteżał,
To nie udźwigną — taki to ciężar!

Nagle — gwizd!
Nagle — świst!
Para — buch!
Kola — w ruch!

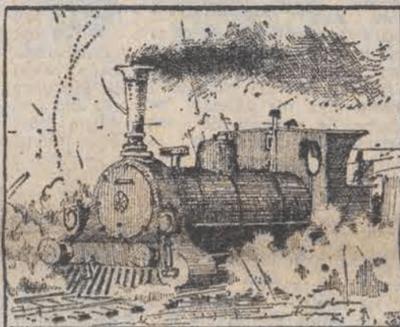
Najpierw
powoli
jak
żółw
ociężałe

Ruszyla
maszyna
po
szynach
ospale,

Szarpnęła wagony i ciągnie z mozołem,
I kręci się, kręci się koło za kołem,
I dudni, i stuka, tomoce i pędzi,
I biegu przyspiesza, i gna coraz prędzej,
A dokąd! A dokąd? A dokąd? Na wprost!

Po torze, po torze, po torze, przez most,
Przez góry, przez tunel, przez pola, przez las
I śpieszy się, śpieszy, by zdążyć na czas,
Do taktu turkoce i puka, i stuka to:
Tak to to, tak to to, tak to to, tak to to,
Gładko tak, lekko tak toczy się w dal,
Jak gdyby to była pileczka, nie stal,
Nie ciężka maszyna zżalana, zdyszana,
Lecz fraszka, igraszka, zabawka blaszana.

A skądże to, jakże to, czemu tak gna?
A co to to, co to to, kto to tak pcha,
Ze pędzi, że wali, że bucha buch — buch?
To para gorąca wprawiała to w ruch,
To para, co z kotła rurami do tłoków,
A tłoki kołami ruszają z dwóch boków
I gnają, i pchają, i pociąg się toczy,
Bo para to tłoki wciąż tłoczy i tłoczy,
I kola turkoce, i puka, i stuka to:
Tak to to, tak to to, tak to to, tak to to!...



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Jan Brzechwa

Depesza

Miasto Koluski,
Ulica Kościuski,
Numer dwadzieścia.

U swego teścia
Mieszka
Leszek Kulesza.
Do Leszka
Przyszła depesza:
Ob.
Kulesza, Kościuski, Koluski.
— Stop.
— Przyjeżdżaj do Kiele na racuszki.
— Bob.

Listonosz depeszę bierze
I śpieszy,
I śpieszy,
I śpieszy.
Na rowerze,
Na rowerze,
Na rowerze,
Z tą depeszą do Leszka Kuleszy.

— Czy tu mieszka pan Leszek Kulesza?
Jest do pana Kuleszy depesza,
— Nie ma go, proszę pana.
Właśnie we wtorek z rana
Wyjechał do Warszawy
Zalać ważne sprawy,

Zamieszkał pod piątym na Bema,
A tu go, niestety, nie ma.

Listonosz z rozpędu na rower — hop
Przyjeżdża do urzędu
Zżalany, jak mops.
Biegnie do naczelnika
I ze słów jego właśnie wynika,
Ze nie doręczył depeszy,
Gdyż nie ma w Koluszkach Kuleszy.

Trzeba trafić
Ze naczelnik telegrafu
Był solidny bardzo człek,
Więc uśmiechnął się i rzekł:
— Co? Adresat wyjechał? Ogromnie

się cieszę,
Do Warszawy w ślad za nim wyślemy depeszę!

Dwaj telegrafisci przy dwóch aparatach
Tę samą depeszę ślą do adresata,
Wystukują kolejne litery:
Stuk — stuk — stuk —

Jedna, dwie, trzy, cztery
Litery biegną po drucie:
W Warszawie w tej samej minucie
Telegrafista odbiera:
Ka — litera, u — litera, el — litera...
Kul... Kule... Kulesza...
Uklada się z liter depesza:

— Kulesza. Bema. Warszawa
— Jest ważna niezmiernie sprawa
— Stop
— Przekazują depeszę Koluski
— Stop
— Przyjeżdżaj do Kiele na racuszki
— Bob

Listonosz depeszę bierze
I śpieszy,
I śpieszy,
I śpieszy,
Na rowerze,
Na rowerze,
Na rowerze,
Z tą depeszą do Leszka Kuleszy.

— Czy tu mieszka pan Leszek
Kulesza?
Jest do pana Kuleszy depesza.
— Owszem mieszkał na Bema,
Lecz go od wczoraj nie ma.

Wyjechał do Krakowa,
Adres: ulica Basztowa,
Numer domu piętnaście,
Tam ma depeszę przekazać.

Listonosz wraca, rzecz oczywista,
Znow wystukuje telegrafista
Szereg tych samych liter i znaków:

Znow listonosz depeszy doręczyć nie może,
Bo Kulesza wyjechał nad morze.

I znow aparat stuka,
I znow listonosz szuka:

— Kulesza. Słoneczna. Sopot.
I znowu z Kuleszą kłopot,
Bo wyjechał do Łomży do stryja.
Znow telegraf litery wybija:

Za Kuleszą depesza podąża:
— Kulesza. Traugutta. Łomża.
Ale w Łomży ta sama nowina:
Wyjechał do Szczecina.

Depesza w ślad za nim leci:
— Kulesza. Portowa. Szczecin.
A w Szczecinie ta sama nowina
— Wyjechał do Lublina.
Z Lublina do Olsztyna,
Z Olsztyna do Raszyna,

Z Raszyna do Cieszyna,
Taką miał z nim telegraf robotę.
Wreszcie wrócił do domu w sobotę,
Ledwo wrócił — przychodzi depesza:

Koluski,
Warszawa,
Kraków,
Sopot,
Łomża,
Szczecin,
Lublin,
Olsztyn,
Raszyn,
— Cieszyn,
— Koluski,
— Stop.

— Przyjeżdżaj do Kiele na racuszki
— Bob.

Ledwo przyszła depesza,
Skoczył Leszek Kulesza

I po chwili już był w autobusie,
Bo bardzo śpieszyło mu się.

Przyjechał do Kiele w samą porę,

Kiedy na stół wnoszono racuszki, Wieczorem.

A racuszki — wprost lizać paluszki,
Takich nigdzie i nikt wam nie poda.
Nie proszono was — a szkoda.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Igor Sikirycki

Nowe fraszki szkolne

WARUNEK

Gdybym za dwie dwójki
Dostał jedną czwórkę,
Mógłbym już pokazać
Rodzicom cenzurkę.

POMYŁKA

Przez pomyłkę Janek
Dla swego jamnika
Zamiast kości kupił
Dwie kostki Rubika.

TORREADOR

Będzie Stach torreadorem,
Bo rozłożył na trawniku
Własny zeszyt do polskiego,
W którym roi się od byków.

TO NIEPRAWDA

To nieprawda, że milczenie
W szkole bywa złotem,
Bo gdy milczę zapytany,
Lapię dwójkę potem.

PALEC ANTKA

Szedłbym śmiało na egzamin
Nie martwiąc się wcale,
Gdyby Antek mi pożyczyl
Swoją najmniejszą palec,
Bo on wszystkie wiadomości
O słożku i walcu
Ma, jak mówi cała klasa,
Właśnie w małym palcu.

NIEZWYKŁA PAMIĘĆ

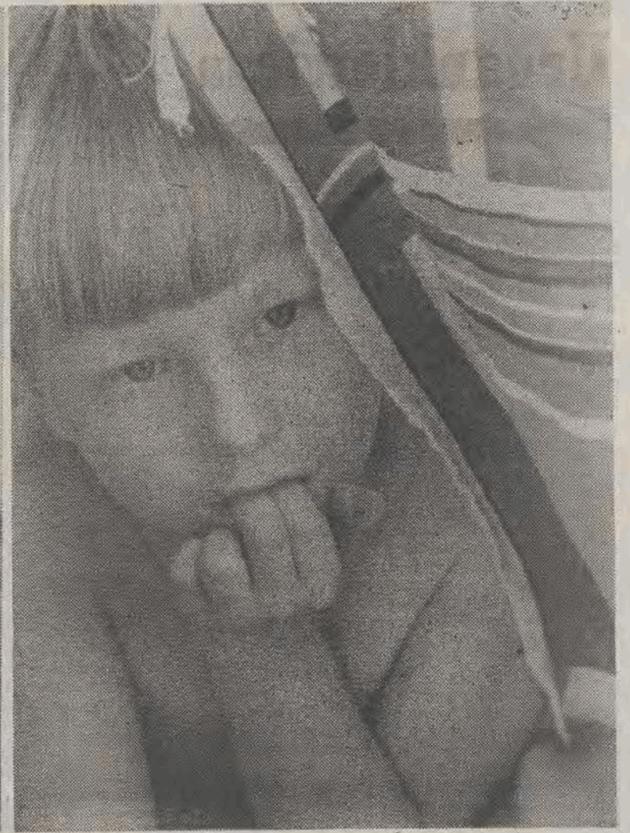
Karol ma niezwykłą pamięć —
Wprost komputer w głowie.
Nie oberwiesz nigdy dwójki,
Gdy on ci podpowie.
Dobry z niego jest kolega,
Miły i wesoly,
Tylko często zapomina,
Ze miał pójść do szkoły.

ZEGARMISTRZ

Michał to zegarmistrz
Najprzedniejszej marki —
Caluteńskiej klasie
Rozebrał zegarki.



Rys. Janusz Szymański-Głanc



Opowiadania Jerzego Urbankiewicza

Wielce zasłużonym dla propagowania dzieł miłośnika Łodzi, znaną jej dawniej i nowszej kultury — jest Jerzy Urbankiewicz.

Poświęcił tej tematyce aż 5 książek, napisanych klarownie i z dużym poczuciem humoru, zapelniając tym sposobem lukę pomiędzy erudycyjnymi opracowaniami naukowymi a ulomną pamięcią starszych mieszkańców Łodzi. Były to kolejno: „Sukienica nad Łódką” (1968), „Za płotem paradyżu” (1969) i „Muzy przy krosnach” (1970) — nazwane przez czytelników mianem „tryptyku łódzkiego”.

Kilka lat później z roczników łódzkiej prasy wykreślił „Prawie pitaval” (1974); uwienczył cykl książką pt. „Sezon w Łodzi nie zaszkodzi” (1978), zaopatrzoną w kalendarium teatru łódzkiego, a będącą jakby wprowadzeniem w dzieje łódzkiego „filirtu z Melpomeną”.

Tegoż roku pojawił się też debiut powieściowy Urbankiewicza — pt. „Złotook”, przedstawiający ludzi związanych z budową kopalni odkrywkowej węgla brunatnego w Bełchatowie. Z materiałów zgromadzonych dla napisania powieści wykreślił dodatkowo reportaż dla młodzieży, nagrodzony II nagrodą na konkursie KAW „Śledztwo w sprawie Geo-2a”.

Natomiast niedawno ukazał się tom opowiadań Jerzego Urbankiewicza — „Dwa stopnie Celsjusza”. Pisarz pomieścił w nim 15 utworów, napisanych prostym, lakonicznym językiem i sięgających w różnorodne kregi tematyczne. Widać wyraźnie, jak to, co nazywamy historycznym doświadczeniem pisarza odbiło się na ich konstrukcji narracyjnej, bowiem opowiadania o największym ładunku dramatyzmu — pisane są z ostentacyjną prostotą i soczystością, zaś to, co późniejsze, bądź mniej przetrwałe — dopełnione zostaje sensacyjną anegdotą lub spektakularnym rekwizytem.

Wznowionym doświadczeniem biografii Urbankiewicza okazuje się, oddalony w czasie, okres wojny. Dlatego tematyka łódzka zajmuje niższe miejsce w hierarchii literackich tematów. Malownicza sceneria łódzkiego folkloru z opowiadania „Bas bejny”, czy artystyczne, środowiskowe grymasy z opowiadania „Skopolamina” raczej pobieżnie angażują autora, podczas gdy rozmyślenia o zadaniach ludzkiego życia — w kategoriach najtrudniejszych wyborów — stanowią istotny cel prozatorskich poszukiwań. Znaczenie oczyścił brzmień więc ta proza, kiedy ukazuje codzienne obrzadki kawalerii klusującej pod Grudziądem, w skwarze dni lata 1939 roku, („Malowane dzieci”), daleka wszakże od okadzania tzw. legendy ulińskiej, niż gdy szkicuje migawkowo perwersyjną Soho i próbę porwania samolotu IL-18 („Twarz filigranowej dziewczyny”).

Są to, niezaprzeczalnie, trafne wybory literackie. Trochę przeszkadza w lekturze nadmierne zaufanie pisarza do konstrukcji anegdotycznej, zastanawia ostrożność w „zageszczaniu” przedstawionej rzeczywistości, tak — jakby Urbankiewicz bardziej dowierzał sferze przedmiotowej, niż własnej zdolności do demaskacji świata. Ale autor rekompensuje to swą moralną postawą wobec historii, serdecznym pochylem nad cierpiącą, zatroskaną jednostką uwikłaną w trudne wybory, niepokojące pytania. Tak jest np. w tytułowym opowiadaniu „Dwa stopnie Celsjusza”, które Urbankiewicz kończy szyderczo: pokazuje żal bohatera, któremu dwa stopnie ciepła za dużo odebrały prawa do kombatanczej legendy. Bomba, która z wielkim trudem podłożył w niemieckim magazynie paliw w Wilnie — posiadała zapalnik działający tylko przy odpowiedniej temperaturze. Wojna, zdaje się tłumaczyć pisarz, jest bowiem niebawym mechanizmem i ten tu lepszy, kto odnosi sukces. Oto jednak kominiarczyk dochował wierności regulom gry i przegrał swą wojnę. Oszukał go własny los, najdroższy przeciwnik.

Mądrość i humanizm pisarza wyraża też interesujący pomysł opowiadania pt. „Który oddział dzień święty od powszedniego...”. Niedawny jeszcze, biedny łódzki krawiec — Dawid, wraz z gromadą więźniów żydowskich usuwą z wiedeńskiego cmentarza Zentralfriedhof zwłoki katolików, aby je potem spalić na śmietniku. Zanim nieszczęśliwy poniosł śmierć — każę im się wyrzec własnej godności, degradując do roli nie ludzkiej, tzw. podczłowieka wydzierającego grzegiemu pośmiertną wartość. Mają umrzeć jako beztreściowe ludzkie atrapy. Dawid trafia na grób pisarza Arthura Schnitzlera, barona Rotschilda, a wreszcie — wielkiej śpiewaczki operowej Selmy Kurz, oznaczone czerwona farbą. Selma była dla tego wrażliwego melomana uosobieniem muzyki, czyli — „kwintesencji życia”. W przypływie bolesnego upokorzenia Dawid rzuca się na strażnika. Szlachetny gest przyplaca śmiercią. W tej opowieści sens życia spłata się z tajemnicą śmierci. Człowiek to ja jedna istota, która wie, że musi umrzeć. Dlatego nadaje swemu życiu indywidualny sens. Przedłuża swe biologiczne istnienie w kulturze. Jerzy Urbankiewicz dokumentuje, że totalitarny „ład” jest w swych podstawach nacechowany nienawiścią do duchowej kultury człowieka i pragnie wydrzeć jednostce jej wiatła, ale niezłomną podmiotowość. Bunt Dawida ma zatem sens podwójny: poświęcając siebie, ujawnia te wartości, które winny trwać.

JERZY K. WEBER

Jerzy Urbankiewicz — „Dwa stopnie Celsjusza”, Wydawnictwo Łódzkie 1982 r., str. 172, cena 40,-

8 ODGŁOSY

S poglądając wstecz na minione, zamknięte już życie jednego z najwybitniejszych współczesnych prozaików polskich, chciałoby się mimowiednie ogarnąć jednym spojrzeniem także dzieło pisarza, ująć je syntetycznie, ocenić i zaklasyfikować. Po uważniejszym jednak wglądzie okazuje się, że nie jest to możliwe, a w każdym razie niełatwe. Spuścizna Jerzego Andrzejewskiego wymyka się pospieszynom uogólnieniom, nie poddaje jednoznacznym ocenom. Mimo licznych prób krytyków i literaturoznawców, usiłujących uporządkować tę twórczość — choćby częściowo i w określonym przedziale czasu — opisać ją i wyjaśnić, w chwili obecnej przedstawia się ona wciąż jako zadanie badawcze do wykonania. Pełne rozpoznanie pisarstwa autora „Bramy raj” będzie zresztą dopiero teraz możliwe, gdy dzieło siłą rzeczy skryształizowało się w kształt ostateczny i nic w nim już się nie zmieni.

W twórczości Jerzego Andrzejewskiego odnajdujemy rozbieżne wątki i motywy, myśli i poglądy różnorodne, często ze sobą sprzeczne: umiejętność obserwacji rzeczywistości zewnętrznej i ograniczenie pola widzenia do wewnętrznych dramatów jednostki, surowy moralizm i skłonność do nihilizmu, afirmację i negację świata zastanego, kult życia i pesymizm o manichejskim podłożu. Poszukując zasady wyjaśniającej twórczość parę opozycyjnie sytuowanych pojęć, których powikłaną dialektykę śledzono w utworach. Podstawową opozycję stanowiły pojęcia zła i dobra, ewokujące za reguły szerszą problematykę filozoficzną. Klucza interpretacyjnego upatrywano w analizie opozycji: mistrz — uczeń, młodość — starość, niedojrzałość — dojrzałość, biologizm — kultura (intelekt), sztuka — rzeczywistość, tragizm — satyryczność. Godzono się na ogół, że ewolucja światopoglądowa pisarza prowadziła od akceptacji etycznych zasad religii katolickiej (bądź ogólniej — katolicyzmu), poprzez marksizm, do odrzucenia wszelkiej ideologii i religii.

Nie sposób wdawać się tu w jakiegokolwiek dyskusję lub budować nową, odmienną koncepcję interpretacyjną. Warto wszakże zaznaczyć, że dotychczasowe opracowania, wnikliwe często i odkrywcze, są niepełne, wycinkowe i skupiają się zwykle na wybranym aspekcie pisarstwa Andrzejewskiego. Rozliczne zaś możliwości egzegezy świadczą pośrednio o skomplikowaniu problemowym utworów oraz o dość wyraźnej wieloznaczności ich sensów — projektowanych świadomie albo też powstałych samorzutnie w procesie kształtowania materii literackiej. Pewne wątpliwości wzbudza przecież metoda wyjaśniania dzieł w świetle przemian światopoglądowych autora. Zakłada ona bowiem — w przyjętej praktyce krytycznej — uprzednie określenie aktualnego stanowiska pisarstwa i na tej podstawie wyrokowanie o konkretnym utworze. Jeśli natomiast odwrócić porządek postępowania, co wydaje się właściwsze, i z utworów wnosić o światopoglądzie twórcy, okazuje się, że trudno byłoby skonstruować na tyle spójny obraz, aby w sposób wystarczająco umotywowany mówić o ewolucji poglądów Andrzejewskiego. Ewolucja wszak oznacza pewną ciągłość, przekształcenie i rozwinięcie. Wydaje się, że zarówno przed wojną, jak i później pisarz prezentuje raczej eklektyzm filozoficzny oraz ideologiczny, co w przypadku beletrysty nie musi mieć znaczenia deprecjonującego. Nawet jego krótkie, spektakularne zaangażowanie się w realizację programu socjalistycznego realizmu bardziej było wynikiem politycznej deklaracji niż przyjęcia założeń doktryny marksistowskiej.

Stwierdzając w jednej często powieści obecność heterogenicznych elementów myślowych, a w większych zespolach utworów zmienność i różnorodność poglądów, odstępstwa i powroty do myśli dawniej porzuconych — zjawiska te należałoby zapewne tłumaczyć chwilowymi opcjami, fascynacjami bądź rozczarowaniami, a także szczególną do pewnego czasu podatnością Jerzego Andrzejewskiego na wpływy różnego rodzaju nowych teorii filozoficznych, ideologicznych i literackich. W rozwoju jego pisarstwa również bez wątpienia doniosłą rolę odegrały wydarzenia współczesnej historii politycznej, bezpośrednio doświadczenie realnej rzeczywistości. Jedno zdaje się bezsporne: wśród burzliwej historii i różnorodnych prądów szukał on zawsze jakichś niezawodnych, trwałych wartości, godnych zaufania i akceptacji. Próbował też określić własne powołanie pisarskie, swoje powinności i miejsce w społeczeństwie. Odczuwał potrzebę wiary w istnienie wolności i godności ludzkiej, dziejowego ładu i harmonii, tymczasem z biegiem lat coraz częściej odkrywał w świecie współczesnym chaos, rozpad wartości, duchowe zniewolenie, moralną miazgę. Toteż jego poszukiwaniom towarzyszył stale niepokój, przeobrażający się niekiedy w krańcowe zwątpienie. I poczucie pustki, klęski i niespełnienia przelika ostatnie utwory pisarza z lat siedemdziesiątych: „Teraz na ciebie zagląda”, „Już prawie nic”, „Nikt”. Zanim jednak dotrze do kresu swojej nocy, przejdzie on długą, meandryczną drogę, znaczną ważnymi w literaturze polskiej dziełami, z których odczytać można nie tylko intelektualną biografie pisarza, ale również dzieje realne oraz przemiany świadomości, inteligencji zwłaszcza, grup narodu. W debiutanckim zbiorze trzech opowiadań „Drogi nieuniknione” (1936) dostrzec można wpływy Mauriaci, Dostojewskiego, Tomasza Manna. Przedstawiając beznadziejność bytowania zubożającego kupca („Koniec”) i bezrobotnego urzędnika („Klamstwa”) Andrzejewski obnaża drzemając w człowieku zło, które jego zdaniem należy niejako do istoty gatunku ludzkiego. Poczucie samotności, wyobcowania, jałowości istnienia — to główne wyznaczniki świadomości bohaterów, adekwatne do ich rzeczywistej sytuacji w świecie. Konstruowany w ten sposób obraz kondycji ludzkiej posiada zatem egzystencjalistyczne piętno. Równocześnie pisarz nie rezygnuje z wyeksponowania socjalnych motywacji losu. W „Ucieczce” odwołuje się do etyki chrześcijańskiej, która okazuje się całkowicie zgodna — w omawianym przypadku — z wymogami natury. Za grzech matki, usiłującej spędzić piód, zapłaci śmiercią niechciany syn. Z medycznego punktu widzenia zgon syna jest konsekwencją wykroczenia przeciwko prawu natury. Pisarz uwzględnił oba wymiary sprawy, interesuje go jednak tylko aspekt moralno-religijny: grzesznica musi zostać ukarana. „Drogi nieuniknione” odstają też predyspozycje autora — tłumioną później, lecz wciąż odżywiająca — do naturalistycznego sposobu ujmowania przedmiotu opisu. Widać w nich wa-



ŁAD I MIAZGA

Jerzy Andrzejewski 1909 - 1983

hania w wyborze wzorca prozy, mistrza, filozoficznej wykładni bytu ludzkiego.

Ambivalencja cechuje również „Ład serca” (1938), powieść wyrosłą z inspiracji katolickich. Pojawiają się w niej zasadnicze pytania egzystencjalistyczne i eschatologiczne, skupione wokół głównej kwestii: grzechu i odkupienia. Natura ludzka skażona jest złem. Zmienić jej nie można, zło jest przyrodzone, zatem upadek i potępienie jest stanem poniekąd naturalnym. Przed szatanem uchronić może jedynie wiara w łaskę bożą, dążenie do Boga, czyli przekraczanie jakby ulomnej kondycji ludzkiej. Człowiekowi dana jest możliwość wyboru, co więcej — nie może on wyboru uniknąć. Ale nieodgadnione są wyroki boskie. „Łaska może nie być dana człowiekowi” — myśli ksiądz Siecheń. Efekt czynów ludzkich może zaprzeczać najlepszym zamierzeniom. Ksiądz Siecheń wybierając kapłaństwo skrzywdził nieodwracalnie kochającą go kobietę. Dając przeto pierwszeństwo Bogu zniszczył człowieka, wybierając wartości metafizyczne podstępnie moralne. A „czyż człowiek nie jest bliższy człowiekowi od Boga?” — zapyta w chwili przerażenia. Może więc i tak się zdarzyć, że między porządkiem boskim a ludzkim istnieje konflikt, że oba te plany są do siebie nieprzystawalne. Należałoby się wtedy zastanowić, czy Andrzejewski wychodząc z założeń katolicyzmu nie wnosił doń myśli heretyckich? Wydaje się, że nie podważa katolickich dogmatów. Nad światem przedstawionym w „Ładzie serca” rozpina się nadzwyczaj boski porządek, będący też, mimo dramatycznych rozterek postaci, nadrzędną wartością. Człowiek istnieje wobec Boga i dla Boga, chociaż jego istnienie pogrążone jest w mroku, w twórcze i rozpacz. Wiza doli ludzkiej proponowana przez Andrzejewskiego jest wizją tragiczną. Istnieje jednak cień nadziei, bowiem „któż z żywych może znać prawa wyższej sprawiedliwości?”. Gdy zaś nadziei zabraknie — rozwija myśl kapłan — „w tym leży godność ludzka, aby nawet bez nadziei żyć tak, jakby nadzieja stała przy nas na straży”. Do powieści bliskiej tematycznie utworom Bernasona i Mauriaci zakradają się więc również motywy Conradowskie: odpowiedzialność za swoje życie, heroicznego trwania, ocalenia godności.

Doświadczenia wojenne oddalały Jerzego Andrzejewskiego od uniwersalnych problemów losu człowieka, od religii i metafizyki, i kierunkują jego uwagę na byt konkretny, historyczny, warunkowany okupacyjną rzeczywistością. Pisze wówczas kilka opowiadań („Przed sądem”, „Wrzeszczenia oda”, „Intermezzo”, „Apele”), które w różnych szatach fabularnych rozważają zagadnienie postaw i zachowań jednostkowych w warunkach zagrożenia życia bądź — z ówczesnego punktu widzenia — normalnych, codziennych. Wydobywając tragizm położenia, tworząc często sytuacje bez alternatywy, pisarz zawiesza ocenę moralną czynów ludzkich. Uwzniośla heroizm, ale jednocześnie nie potępia słabości, załamania, pomyłek. Manifestuje swoją solidarność z tymi, których pokonał lek przed śmiercią i cierpieniem.

W czasie okupacji powstają inne jeszcze opowiadania („Kukulkan”, „Paszportowa żona”, „Przebudzenie lwa”), zaskakujące na tle dotychczasowych dokonań. Twórca przy udrumianym, niemal hieratycznej, animator wielkiej problematyki moralnej, ukazuje w nich nowe oblicze — ironisty, satyryka, karykaturzysty. Przedmiotem drwiny staje się właśnie „normalność” okupacyjnego życia, umiejętność przystosowania się do rygorów stanu wyjątkowego, skrzętne „zagospodarowanie koszmaru”. „Andrzejewski — trafnie pisała Teresa Włas — drwi jednakowo z brawury i głupoty, z niczym nie zachwianej wiary w zwycięstwo i z handlowego zmysłu Polaków, z konspiracyjnego szaleństwa i z odporności na grozę”. Utwory satyryczno-groteskowe z roku 1944 dają początek nowemu nurtowi w pisarstwie autora „Miazgi”. W dalszej twórczości nurt ten przejawia się sporadycznie odrębnymi pozycjami, głównie natomiast jawną bądź zreżymowaną postacią postawą przemieniwcy, ironisty, szydercy, która akcentuje w wielu powieściach i opowiadaniach swój dystans lub obcość wobec przedstawianego zjawiska czy wykreowanej postaci.

„Popiół i diament” dowodzi zupełnego zerwania z koncepcją metafizycznych warunkowań ludzkiej egzystencji. Kryterium ocen działalności człowieka staje się wymierna, sprawdzalna w kategoriach społeczno-politycznych historia. W zakrojonym na skalę epickim obrazie życia kraju „zaraz po wojnie” prezentuje Jerzy Andrzejewski konflikt dwu antagonizujących racji: racji zwycięskiego obozu politycznego oraz racji podziemia. Opowiada się po stronie nowego porządku, widząc w programie partii robotniczej realizm polityczny i zapowiedź nie-

zbędnych reform społecznych. Równocześnie nie dyskwalifikuje przeciwników. W cieniu pozostawia ideologów, z młodych zaś członków podziemia czyni zdeorientowanych, zagubionych żołnierzy, wiernych przysiędze i dokonanym niegdyś wyborom. Oni obecnie placą cenę rozminięcia się z kierunkiem zachodzących przemian. Ich dobrej woli nie można jednak potępić. Zasluguja przeto na wyrozumiałość i współczucie. Losy konspiratorów uzyskują w powieści wymiar tragiczny, chociaż tragizm ten wynika nie tyle z sytuacji wolnego wyboru, co z inercji, pomyłek, nieświadomości. W „Popioł i diament” — „Złoty lis”, świadczące o otrzeźwieniu. W pierwszej wersji powieści (1948) sędzia Koscecki za swoje czyny w obozie zasługuje na pogardę i odrzucenie, w drugiej (1954) — zostaje uznany winnym także w świetle prawa.

Wkrótce po opublikowaniu „Popiołu i diamentu” w biografii pisarza następuje radykalny zwrot. Zgodnie z obyczajem tamtego czasu, samokrytycznie, z biciem w wielkie dzwony deklaruje on swoją gotowość służenia pograżającej się coraz bardziej w dogmatyzmie władzy. Z gorliwością neofity odcina się od siebie samego z przeszłości, łepi w sobie wszystko, co mogłoby utrudniać mu identyfikację z aktualną linią polityczną. Jego akces ma wszelkie cechy przyjęcia nowej wiary religijnej. Owocem czasu pełnej afirmacji rzeczywistości są tomy deklaratywnej publicystyki politycznej oraz nieudana „satyra pozytywna”, powieść „Wojna skuteczna czyli opis bitew i potyczek z Zaufkami” (1953). Okres ten trwa wszakże długo. Już w latach 1953—1954 powstają opowiadania („Pantofelek”, „Wielki lament papierowej głowy”, „Złoty lis”), świadczące o otrzeźwieniu. W przejrzystych alegoriach dochodzi do głosu sprzeciw wobec praktyk uniformizacji życia duchowego, drwina z postaw bezmyślnych i konformistycznych, obawa o pełny rozwój osobowości człowieka, ulegającego chętnie różnorakim mówniom.

Właściwy jednak rozrachunek z „błędami i wypaczeniami” podejmuje Jerzy Andrzejewski po 1956 r. Gwałtowność reakcji — podobnie jak u kilku innych pisarzy — tłumaczyć należy jego własnym współudziałem w tworzeniu gmachu fikcji i kłamstwa. Uprzednia afirmacja rzeczywistości politycznej początkowo lat pięćdziesiątych zmienia się teraz w jej totalną negację. Posługując się kostiumem historycznym, w powieści „Ciemności kryją ziemię” (1957) obnaża pisarz funkcjonowanie systemu błędów i wypaczeń. Śledzi relacje między jednostką a władzą, która uzurpuje sobie monopol na prawdę, jedyną słuszną oraz posiada niezawodny jakoby przepis na uszczęśliwienie ludzi, nawet wbrew ich woli. Pojedynczy człowiek — w powieści zakonnik Diego — poddany indoktrynacji, olśniony i obezwładniony intelektualnie pozornie zależną logiką ideologii, włącza się w budowę Królestwa Bożego na ziemi, staje się podporą władzy. Gdy na lożu śmierci twórca systemu, Wielki Inkwizytor Torquemada, wyznaje, że cała budowla opiera się na fundamentach zbrodni i fałszu, że należy zmienić nie tylko metody, ale także samą zasadę, pomocnik nie posłucha ostatniego rozkazu mistrza, będzie kontynuował jego dzieło. Demaskując system pisarz nie jest optymistą. W rozmyśleniach przedśmiertnych inkwizytora pojawia się pytanie bez odpowiedzi: „Stworzyłem system, lecz dzięki niemu i poprzez niego stworzyłem także ludzi systemu. Co uczynić z nimi, jeśli system okazał się zgubnym szaleństwem? Jak usunąć terror, gdy zdążył zrodzić ludzi, którzy w nim tylko znajdują rację swego istnienia? Zniszczyć ich przy pomocy terroru?”.

Pesymizm historyzologiczny znanemuje również dalszą twórczość Jerzego Andrzejewskiego. Stopniowo pogłębia się też sceptycyzm w ocenie ściśle aktualnej rzeczywistości, w poglądach na kulturę współczesną i charakter stosunków międzyludzkich. Coraz mniej w utworach zdumień i nadziei, coraz więcej gorzkiej mądrości artysty przyglądającego się światu z wciąż zwiększającego się dystansu. Powieści napisanych po „Ciemnościach...”, ze względu na ich złożoną semantykę, nie sposób omówić w kilku zdaniach. Wymagają one obszernego studium. Wypadnie zatem poprzestać na przypomnieniu tytułów.

„Bramy raj” (1960) to paraboliczna opowieść o skażeniu idei u samych jej źródeł, o zbiorowym omamieniu i uwiedzeniu tą ideą, mającą rzekomo sankcję boską, a więc wzniosłą i najbardziej autorytatywną, w rzeczywistości uformowaną przypadkowo, jako uboczny w gruncie rzeczy produkt prywatnego (erotycznego) życia kilku osób. Kompromitacja idei oznacza tu kompromitację tej wartości, która jest siłą napędową w działaniach zbiorowości. W „Idzie skacząc po górach” (1963) przedstawia Jerzy Andrzejewski nieautentyczność, sterylizowanie, tandetność i pozornie wartości kulturowych w świecie współczesnym, w którym obojętnie gra konwencje i fałsz, a celebrowanie sztuki służy zupełnie innym celom: zdobyciu pozycji i zysków materialnych. Demaskując pozory pisarz pragnie przecież coś ocalić. Wydaje się, że w utworze nie podlega degradacji sztuka rozumiana jako konkretny fakt artystyczny oraz suwerenna i samotna świadomość wielkiego artysty. „Apelacja”, napisana w latach sześćdziesiątych, opublikowana w kraju w „Twórczości” z 1981 r., jest historią człowieka płażącego chorobą psychiczną cenę zaangażowania w powojenne przemiany ustrojowe. Jest to, po „Ciemności kryją ziemię”, jeszcze jeden dojrzały rozrachunek z systemem kaleczącym jednostkę. Czym jest „Miazga”, ukończona w 1970 r., wydana w 1982 r.? Między innymi powieścią o pisarzu, noszącym pewne rysy samego autora. Przede wszystkim jednak amorficzną powieścią o społeczeństwie polskim, dokładniej — o górnych warstwach tego społeczeństwa, o ludziach tworzących kulturę oraz politykę. Jej „miazgowaty”, chaotyczny, nie wykończony kształt formalny harmonizuje z zawartą w niej wizją zbiorowości — zdeintegrowanej, skłóconej, pokracznej, żyjącej bez celu, w próżni aksjologicznej, tymczasowej, absurdalnej.

Należy sądzić, że „Miazga” miała być dziełem życia pisarza. Czy jest jego sukcesem, czy też porażką?

STANISŁAW MAJCHROWSKI

VII Łódzkie Spotkania Baletowe (2)

WIECZÓR PIĄTY: SPOTKANIE Z IVANEM MARKO

Kim jest Don Juan IVANA MARKO? Formalnie — tylko pierwszym z trzech wcieliń tego samego tancerza, pozostałe bowiem wcielił do Faust i Pan K/M. Skoro jednak osoba wykonawcy łączy te trzy postaci w jedną, dlaczego Don Juan jest z nich „najważniejszy”? Czy tylko dlatego, że jego imię nosi poemat symfoniczny Ryszarda Straussa? Nie bez powodu chyba węgierski choreograf zatytułował swój balet: „Cień Don Juana pada na nas”...

Zestawianie tak przeciwstawnych osobowości, jak ogarnięty żądzą użycia Don Juan i pochłonięty pragnieniem poznania doktor Faust, kusilo już innych twórców. W bardzo niedługo znanym (a dziś nie wiem czy grywanym) dramacie Ch. D. Grabbe z 1828 r. pt. „Don Juan i Faust” dochodzi do następującej między nimi wymiany zdań (w możliwie najdosłowniejszym przekładzie). Don Juan: „Po cóż te nadludzkie dążenia, skoro jesteś tylko człowiekiem?”. Na to Faust: „Po co być człowiekiem, jeśli się nie dąży do nadludzkiego?”. I komentarz Diabła: „Zmierzasz do tego samego, choć jedziesz na różnych wózkach!”.

Chyba takie byłoby uzasadnienie dla jedności obu postaci w dziele Ivana Marko, łącznie z trzecią, tj. Kafkowskim Panem K/M, co nadaje wspólny sens dramatyzmowi sytuacji jednostki w kolejnych epokach, uściślonych dodatkowo przez obecność postaci towarzyszących: Leporella (Sganarel), Wagnera i Anioła. Owego bohatera dąży więc do osiągnięcia pełni przeżyć i ocalenia swojej osobowości, a maksymalizację jego postawy musi doznać klęski w zderzeniu z bezdusznymi i okrutnymi mechanizmami świata. Dzieło przejmujące w swoim egzystencjalnym pesymizmie, bliższym filozoficznie Panu K/M niż Faustowi czy Don Juanowi. Ale byłaby to już polemika nie dotycząca siły artystycznych wartości tego bardzo wybitnego utworu.

Swoją wypowiedź o dramacie jednostki Ivan Marko zobrazował całą gamą środków scenicznych i tanecznych, znakomicie stopniując napięcie. Wspaniała była w II akcie scena balu w lustrzanej sali, targowisko ludzkiej obudy i próżności, świetny był myślowy taniec z kobietą o czerwonych włosach, przejmujący taniec kobiet z czarnym całunem wokół umęczonego Chrystusa-człowieka, pełne gorzkiego komizmu i ludzkiego upokorzenia, tancerne scherzando gromady więźniów-obłąkańców na krzesłach — ze strachu przed Mężczyznami w czarnych kapeluszach.

Silnie działała na wyobraźnię scenografia, znakomicie było operowanie światłem, nie zapomnijmy też o aranżacji muzyki przez JANOSZA VAJDE. Sam Ivan Marko załpował jako tancerz świetny technicznie i nade wszystko interpretacyjnie, a cały zespół wspierał

swego mistrza w sposób wzorowy. I taki oto balet ma nieduże miasto Győr.

WIECZÓR SZÓSTY: BALET HOLENDERSKI

Jako oryginalny zespół baletowy o nowoczesnym stylu tańca zaprezentował się **Nederlands Dance Theater „Junior”**, złożony z dziesiątki starannie dobranych młodych tancerzy pod kierownictwem wybitnych pedagogów i choreografów.

Pierwsze kroki tancerzy przekonały widzów, że mają przed sobą artystów łączących nieskazitelną wdzięk młodości z wysokimi już umiejętnościami, posługujących się swobodnie i precyzyjnie nowoczesną techniką. Pierwszy utwór „**Dancing Day**”, do niezwykle nastrojowej muzyki angielskiego kompozytora Gustava Holsta, zmarłego przed pół wiekiem, był niewątpliwą stylizacją w duchu klasycznym, przepięknie wykonaną przez śpiewaków solistów i znakomity chór. Wielką płynność ruchu, wzorowa przy tym dokładność wykonania przez cztery pary, przesubtelnie, z szlachetnym wyrazem i kulturą artystyczną. Coś niesłychanie kojącego.

W nadprogramowym „**Bylines**” do muzyki fortepianowej potwierdziły się zalety wykonawcy zespołu: znów czystość ogólnej linii i dbałość o szczegóły, wdzięk i elegancja.

„**Zatopiona katedra**” Debussy'ego przeniosła nas w inny świat wyobraźni, na mocy muzycznych skojarzeń. Na kwadracie nadmorskiej plaży, wśród szumu morza dwie pary wykonawców wskazywały jakieś dawne, dramatyczne sprawy, pod długą nieobecność muzyki, zaznaczającej tylko swoje istnienie z rzadka odzywającą się frazą. Gdy muzyka już zapanowała towarzyszył jej dynamiczny taniec, wyrażający silne emocje, lecz utrzymany w doskonałej dyscyplinie.

Ale program wieczoru stał się dla większej części publiczności, jak sądzę, nieco nużący i zaczęto chyba oczekiwać nowej odrębnej propozycji. A może to tylko ja miałem tak prostackie odczucia. Ale nie będę udawał, że **Pieśni bez słów** oglądałem z równym zainteresowaniem co poprzednie utwory, choć muzyka Mendelssohna wydaje mi się wdzięczną inspiracją dla baletu, a Hans von Mannen jest z pewnością wielkim choreografem. Z całego cyklu wybrano bodaj dzieło **Pieśni**. Zespół zaprezentował znów swoje znane nam już walory.

Holenderscy tancerze zasłużyli sobie na nasze szczerze uznanie i wdzięczną pamięć. Godzi się tu odnotować interesujące muzycznie wykonanie partii fortepianowej przez zamieszkałą na stałe w Holandii **BARBARA GRAJEWSKA**.

WIECZÓR SIÓDMY: ANNA KARENINA

W podsumowaniu poprzednich spotkań baletowych wypowiedziałem opinie (zresztą na innych łamach), że zespół

baletowy Opery Bałtyckiej w Gdańsku zaprezentował się spośród polskich uczestników najciekawiej.

Tym razem gdańszczanie przywieźli z sobą balet do muzyki również Rodiona Szchedrina (wtedy do Carmen — Suita wg Bizeta). Obecnie też współdziałali przy nadawaniu kształtu baletowemu dziełu czeszy twórcy: reżyser Borys Slovák, choreograf Józef Sabovčík (ich wspólnym dziełem jest libretto).

Wprowadzenie do akcji pomysłu interesującego pod względem teatralnym, choć może ryzykowne, bo według koncepcji uwertury muzycznej. Na samym bowiem początku nastąpiła prezentacja trojga głównych wykonawców, którzy zademonstrowali nam rysy charakterologiczne kreowanych postaci i nawet pewien szkic wątków sytuacyjnych. Oto młody i pewny siebie **Wronski**, oto godny w postawie i ruchach **Karenin**, a między nimi pełna rozterki i niepokoju **Anna**. W tle cor de balet jako uosobienie demonicznej, bo niesprzyjającej kochankom, społeczności, czyli sfer towarzyskich. Było to w sumie intrygujące i ciekawe dla oka, lecz, jak podejrzewam, czytelnie dla tych co powieś nieznają nie tylko z filmowej adaptacji.

Co gorsza, nad całym przedstawieniem (któremu w drukowanym programie poświęcono libretta), zaciął się zamysł jak najskrupulatniejszego odтворzenia niemal całej akcji powieściowej, zamiast skrótkowego zobrazowania idei utworu. Ale czy nie jest to materiał na operę raczej niż na balet?

Było sporo niezłych scen, ale były i niedopuszczalne z artystycznych względów, jak ryzykowne przetrucanie dziełką w powietrzu z rąk do rąk i w ogóle nadużycie biednej dziełki jako teatralnego „samograjca”.

Można przyznać, że **IZABELLA ZUB** ze znaczną koncentracją starała się przekazać stany wewnętrzne **Anny** i wykonywała swoją partię sprawnie, że dynamicznym i dobrze opanowanym technicznie tańcem zwrócił na siebie uwagę **MIROSLAW ZUKOWSKI**, jako **Karenin**, zawiódł jednak ualentowany przecież **MAREK STASIEWICZ** — **Wronski**.

WIECZÓR ÓSMY: STRAWIŃSKI — GALA

Uwzględniłem w swojej numeracji wyłącznie występy zespołów baletowych, pomijając filmy poświęcone baletowi, odnotuję więc tylko program pt. „**Polscy choreografowie w realizacjach filmowych**”. Przejrzyjmy jednak do kolejnego „żywego” spektaklu.

Utwory Igora Strawińskiego złożyły się na pierwsze spotkanie łódzkiej publiczności z nieznanym nam dotychczas **Baletem Opery w Lyonie**, prowadzonym od niedawna przez wybitnego choreografa średniego pokolenia **GRAY VEREDONA**, rodem z Nowej Zelandii.

Nadrzędną ideą artystyczną programu, łączącą w zamysłu Veredona trzy różne utwory

kompozytora w jedną całość stanowiła wspólnota rytuału magiczno-obrzędowego. „**Symfonia w trzech częściach**”, chyba najmniej się do tego nadaje, jako muzyka „czysta”, o czym świadczyłyby pewnie chłód zamiast oczekiwanego emocjonalnego ładunku emocjonalny zawiera za to „**Święto wiosny**”, którego misteryjny charakter, wypływający z pogańskich obrzędów dawnej Rusi znalazł odzwierciedlenie w scenach tanecznych, niekiedy bardzo sugestywnych.

Duże wrażenie sprawił też sakralny taniec **Dziewczyny wybranej na ofiarę**, niemniej jednak odczułem (chyba nie tylko ja) pewien niedosyt wrażeń w stosunku do tych przebogatej propozycji, jakie niesie z sobą ta wspaniała muzyka, niegdyś tak szokująca, a do dziś nieustannie pobudzająca wyobraźnię.

Trochę też podobnie z „**Weselem**”, którego kształt baletowy nie pozbawiony był momentów atrakcyjnych. Przychodzi mi na myśl czy głównym powodem niedostatków w obu tych baletach nie było zbyt nieodjęcie od inspiracji muzyki rosyjską ludowością, co prawda w wysokim stopniu nowatorsko przetworzoną przez zastosowanie uniwersalnego języka muzycznego, ale przecież słyszalną. Uzewnętrniło się to także w zmianach libretta, wygładzie kostiumów, w zasobie użytych środków ruchowych.

WIECZÓR DZIEWIĄTY: ROMEO I JULIA

Balet ten wydaje się u nas, i w wielu innych krajach — nierozłączny od muzyki Prokofiewa, znamy także muzykę Czajkowskiego, a tu francuski goście z opery lyońskiej przywieźli z sobą dzieło inspirowane muzyką **Hektora Berlioz** — jego „**Symfonia dramatyczna**” z chórem i solistami, zatytułowaną „**Romeo i Julia**”. Treść wykazującą zresztą spore różnice ze znanym nam baletem, stanowi znacznie bardziej swobodnie przetworzenie szekspirowskiego dramatu.

Na tę muzyczną ciszą grupa **Przyjaciół ROMEA** markuje pojedynki drewnianymi kijami, które zresztą do końca przedstawienia będą umownie spełniać funkcję białej broni. Wkrótce po tej pantomimicznej scenie pojawia się basinowy orszak **Królowej Mab**, o której, jako sprawczyń marzeń sennych jedynie się wspomina u Szekspira słowami Merkutio, a tu mamy ją upostaciowaną, co zresztą daje okazję do uroczego opisu tanecznego całej zwórki par. Podobnie z **Rosalindą**, o której tylko czytamy, że jest ostatnią kochanką **Romea**, tu zaś swoim tańcem wprowadza określony nastrój. Różnic jest więcej, są jednak zawsze uzasadnione logiką inscenizacji.

Jest to bowiem świetnie pomysłana i z ogromnym talentem i wdziękiem wykonana opowieść baletowa o żarliwej i tragicznej miłości. Jej bodaj największą odcień stanowi wielkie Pas de deux młodych kochanków, skomponowane z harmonijnego połączenia sceny balkonowej, ślubu i nocy posłubnej. Pełen świeżych pomysłów i naturalny w wyrazie jest ten taniec dwojga, obrazujący najsubtelniejszymi środkami, z niezawodnym poczuciem dobrego smaku, rozwój uczucia miłosnego o bogatej skali doznań i przeżyć, a odtaczony ponad wszelkie pochwały przez prawdziwie dziewczęcą **CHANTAL REQUENA** i **ALOSHE GORKEGO**.

Niezapomnianą postacią **Merkutio**, dwurującego sobie z wszystkich i wszystkich stworzył **MICHAEL GALUANE**, świetnie też tańczył i grał **BERNARD HOZZY** jako **Tybalta**. Przejmujący wypadał, jak na zwolnionym filmie, pojedynek **Romea** z **Tybaltem**, pełne ekspresji było oplakiwanie zmarłych przez grupę kobiet, a właściwie należałoby opisywać wszystko po kolei.

Zdala też chyba egzamin w baletowym zastosowaniu muzyki Berlioz (szkoda, że nie podano w programie nazwiska wspaniałej mezzosopranistki, która użyła swojego głosu przeżyłemu Julii). Ale przede wszystkim — wielki triumf choreografa **Graya Veredona**.

A więc jeszcze jedno przedstawienie Spotkań, którego się nie zapomni...

JERZY KWIECIŃSKI

(Za opuszczenie w poprzednim sprawozdaniu nazwiska autora redakcja przeprosza Czytelników)

Po prostu „Tango”

EWA PANKIEWICZ

Sztuki **Stawomira Mrożka** weszły na stałe do repertuaru rodzimych i zagranicznych scen. „**TANGO**” zajęło wśród nich pozycję szczególnie uprzywilejowaną. Wystawione po raz pierwszy przez teatr bydgoski w roku 1965 miało w tym samym sezonie sześć kolejnych premier i od czasu swej pierwszej inscenizacji jest nieustannie obecne na naszych scenach. W Łodzi po raz pierwszy wystawił je Teatr Powszechny. Drugą z łódzkich scen, na której zagrano „**Tango**” był Teatr im. Jaracza. Ostatnio sięgnął po nie Teatr Nowy.

Poruszane w „**Tangu**” problemy są kwestiami o charakterze niemal uniwersalnym. Wciąż żywa i żywo nas interesująca jest bowiem zarówno kwestia awangardyzmu w życiu i sztuce, jak i problem wzajemnych związków między różnymi pokoleniami oraz zagadnienie władzy i sposób interpretacji tego zagadnienia przez jednostkę sięgającą po nią z wielu społecznych i osobistych powodów.

Każdy z problemów poruszonych przez Mrożka w „**Tangu**” sam w sobie wystarczyłby na napisanie nie tylko dobrej sztuki teatralnej, lecz także wielotomowego traktatu. Próba równoległego rozważania ich w teatrze powiodła się Mrożkowi także dlatego, że dla swych rozważań znalazł doskonałą, choć zaskakującą swym prawdziwie przekornym kształtem formę sceniczną. Stwierdziwszy bowiem, iż najważniejsze problemy, przed którymi staje szeroko rozumiane społeczeństwo, najskuteczniej egzemplifikować można przez pryzmat najwęższej jego komórki, bliskiej każdemu widzowi rodziny, parodystycznie przetworzył dla scenicznej prezentacji tych zagadnień tradycyjny gatunek dramatu rodzinnego.

W dramacie spotykają się trzy pokolenia skonfliktowane między sobą z jednej strony odwiecznie i dość typowo, z drugiej zaś — inaczej niż zwykle. Jeśli chodzi o kierunki myślenia, Rodzice i dziadkowie są tak awangardowi, że najmłodsze pokolenie marzy o konwenansach i dla stworzenia jakiegokolwiek zasady, która różniłaby się od tej konwencji, jaką jest brak konwencji, gotowe jest nawet do poświęceń, których potrzeby nie widzą rodzice, bo ich zdaniem nie ma już czego ratować. Pragnąc dokonać zmiany stosunków panujących w rodzinie bohater sięga po władzę. Receptę na władzę znajduje Edek, sub- czy też współlokator, przedmiot fascynacji preintelektualizowanego pokolenia rodziców, człowiek, dla którego postęp to „przodem do przodu”. Fascynacja Edekem pozwala po awangardyzmie nadzieję epoki siły. Awangardyzm doprowadzony zresztą do krańcowości staje się przyczyną katastrofy. Krańcowość awangardyzmu jest tym punktem zerowym, od którego wszystko trzeba będzie zacząć na nowo, w narzuconym przez Edka rytmie tanga, tańca, w którym kroki „do przodu” przepiętają się z krokami „do tyłu”. Edek wykona zresztą to tango w ubraniu pokonanego duntownika-intelektualisty, będzie je tańczył „salonowo i z figurami”.

Taniec, ten znak-symbol tak charakterystyczny dla polskiej literatury i dramatu, jest tu swoistym tańcem chocholim. Mroźek swobodnie posługuje się symbolami wprowadzonymi do literatury przez inne utwory. W jego „**Tangu**” pobrzmiewają echa „**Ślubu**” Gombrowicza i dramatów Witkacego. Najsilniejsze jednak wydają się związki tego utworu z „**Weselem**”. Sztuka Mrożka, podobnie jak dramat Wyspiańskiego, jest także sądem nad ambicjami, pragnieniami, aspiracjami i szansami ich realizacji przez współczesnych. Nazywając „**Tango**” **Stawomira Mrożka** „**Weselem**” naszych czasów, stwierdzić trzeba, iż wychodzi ono poza granice specyficznie i wyłącznie polskich odniesień. Nie ulega wątpliwości, że ten właśnie walor dramatu Mrożka obok jego immanentnych wartości artystycznych zapewnił mu ową zaszczepioną popularność na scenach Europy.

Na scenie Teatru Nowego „**Tango**” przygotowane zostało w sposób godny szczerzej pochwały i uznania. Wojciech Piłarski, reżyser przedstawienia, odczytał tę wcielone aktualną sztukę o tyle na nowo, o ile wymaga tego postępujący z roku na rok i z godziny na godzinę rozwój naszej świadomości społecznej. Umiejętnie rozkładając akcenty i bardzo wyraźnie punktując owe trzy najważniejsze problemy ukazał nam reżyser największy walor sztuki Mrożka, to, że nie zmieniała swego w naszej dramaturgii miejsca i znaczenia. Przedstawienie **Piłarskiego** nie blyszczy szczególnie efektywnymi rozwiązaniami inscenizacyjnymi. Te byłyby tu zresztą czymś zupełnie nie na miejscu. Jest ono jednak przygotowane z rzetelnością i precyzją we właściwym wybrzmieniu wszystkich tonów i półtonów.

Interesująca scenografia **Henry Zaborowskiej** znacznie, jak się zdaje, pomaga reżyserowi w stworzeniu właściwego klimatu i jakiegoś nieuchwytnego napięcia, które emanowało ku nam z widowni od momentu podniesienia kurtyny.

Już tylko „zwyczajnie” poprawne wydało mi się jednak aktorskie wykonanie tej świetnej sztuki. Określone jasno i jednoznacznie zadania aktorskie we wszystkich niemal przypadkach wykonano zarówno nazbyt jaskrawo, jak i jednostronnie i jednowymiarowo, choć właśnie „**Tango**” jest pierwszą licząc chronologicznie sztuką Mrożka, której bohaterowie są nie tylko upostaciowanymi idealami, ale także żywymi ludźmi. Mimo całej groteskowej deformacji bohaterów „**Tanga**” warto dostrzec ich złożone psychiki i charaktery. Najwnikliwiej zanalizował kreowaną przez siebie postać **Ludwika Benoit**, którego bogaty warsztat aktorski pozwolił na stworzenie w roli **Eugeniusza** wielowymiarowej sylwetki scenicznej o dużej sile wyrazu. Z nie lada zadaniem przyszło się zmierzyć **Jackowi Pawlakowi** w wiodącej roli **Artura**. Wyraźna kultura sceniczna i dość znaczna już sprawność aktorska pozwalają wrożyć temu młodemu artyście interesującą przyszłość teatralną. W „**Tangu**” zabrakło mu jeszcze tych elementów techniki aktorskiej, które pozwalałyby utrzymać rolę w równie wysokim napięciu dramatycznym od początku do końca przedstawienia, w akcie trzecim młody artysta nie mógł już udźwignąć ciężaru ostatniej sceny wielkiej tyrady. **Maria Białobrzęta** zagrała niclatawa rolę **Eugenii** z umiarem. **Maria** w pierwszych scenach zabrakło **Januszowi Kubickiemu** kreującemu postać **Stomila**. W toku przedstawienia powściąga on swój żywiołowy temperament aktorski, co rolę **Stomila** czyni czytelniejszą i pełniejszą, bardziej ludzką i prawdziwą. We właściwie wyważonych przez reżysera proporcjach między groteską, satyrą pogłębioną o psychologię postaci, dobrze czuje się **Marek Lipiński** w roli **Edka**, gorzej zaś **Danuta Rynkiewicz** (**Ala**), która do końca nie może zdecydować się na właściwy dla swej postaci wyraz dramatyczny. Najmniej podobala mi się **Barbara Olszajska** w roli **Eleonory**, odniosłam bowiem wrażenie (oparte na obserwacji działań scenicznym tej aktorki), że zupełnie nie „czuje” ona Mrożka, groteski, absurdu, ani... racji (bądź anty-racji) **Eleonory**. Interpretacja **Barbary Olszajskiej** uczyniła tę postać jednowymiarową i sztuczną w sposób niezależny od zyczeń autora, choć nie pozbawiona naturalnego wdzięku i ciepła. Ten „aktorski kapitał własny” nie może tu być wykorzystany, autorowi chodziło bowiem o wyraźną „nie-naturalność” i „granie”.

Najnowsze łódzkie „**Tango**” szczerze polecam wszystkim widzom. Uderzająca rzetelność przedstawienia i wyraźna troska o nadanie dramatu Mrożka właściwego kształtu artystycznego przyniosły interesujące rezultaty.



Ivan Marko: „Cień Don Juana”; zespół baletowy z Győr

DANUTA SALSKA, jeden z najpiękniejszych głosów sopranowych w kraju, czolowa gwiazda Teatru Wielkiego w Łodzi, skąd znamy ją jako odtwórczynię takich partii jak: Violetta w „Traviacie”, Elisabeth w „Tannhäuserze”, Leonora w „Trubadurze”, tytułowa „Madame Butterfly” i obecnie „Norma”.

Pamiętam jak w koncercie galowym otwierającym sezon teatralny w Teatrze Wielkim, przepięknie wykonała słynną arie „Casta Diva” z „Normy” Bellini, co kazalo nam niecierpliwie czekać na premierę tej opery w Łodzi. Danuta Salska zaśpiewała drugą premierę.

Do owacji miłośników piknego bel-cantia i urody tej najpiękniejszej wśród naszych śpiewaczek nie przylaczyli się recenzenci, nie oceniali wykonawców drugiej „Normy”.

Jeszcze w tym sezonie zobaczymy i usłyszymy te artystkę w jej popisowej partii Tatiana w „Eugeniuszu Onieginie” Czajkowskiego która z ogromnym powodzeniem śpiewała w teatrach operowych RFN.

Słynna Lili Lehman powiedziała, że woli zaśpiewać trzy wagnerowskie Brunhildy niż jedną „Normę”, której była jedną z najwspanialszych odtwórczyń. Zapewne i pani obawiała się tej arcytrudnej partii?

Tak i to bardzo! Przecież wszystkim rola ta stawia przed śpiewaczką ogromne trudności zarówno wokalne jak i aktorskie. Partie „Normy” — moim zdaniem — powinna wykonywać śpiewaczka w pełni dojrzała, posiadająca zarówno techniczne koloratury, jak i umiejętność śpiewania sopranem dramatycznym. Wymaga ona pewnego w dźwięku „c”, którego zwykle boją się sopranow. W partii „Normy” występuje ono aż 13 razy! I nie tylko na początku gdy śpiewaczka jest wypoczęta, ale do samego finału dwugodzinnej opery. Partia jest też bardzo wyczerpująca emocjonalnie, bo należy do tzw. partii wewnątrz, potrzebnych wymagających wielkiego wnętrza u śpiewaczki i nie mniejszego zaangażowania. Śpiewam więc te trzynaście wysokich „c” i jedno „d” oraz rozdzieram duszę aż do tragicznego finału w którym ide na stos.

Nigdy wcześniej nie śpiewała pani Norma?

Nigdy wcześniej balabym się tak karkołomnej partii!

I nie myślała pani o niej?

Szczerze mówiąc — nie chciałam dlatego, że w Polsce nie była nigdy wystawiana głównie ze względu na wymogi wokalne i aktorskie tej partii. Ale zapamiętałam moment, gdy Stawomir Pietras obejmując dyrekturę teatru powiedział po obejrzeniu mnie w partii Leonory w „Trubadurze”, że decyduje się na wystawienie „Normy” w Łodzi i chyba ze mną w roli tytułowej.

Ale przecież nie jest pani sopranem dramatycznym z koloraturą?

A czy znalazła pan taki głos w Polsce? Jeżeli chodzi o mnie, dysponuję sopranem lirico-spinto z koloraturą, który z uwagą na ciemną barwę spełnia wymogi stawiane dla odtwórczyni tej partii i właśnie z uwagi na specyficznego głosu postanowiono w pierwotnym zamysle wystawić „Normę” dla mnie.

I stało się. Otrzymała pani rolę „Normy”. Jak przebiegała praca?

Jedynie praca z korepetytorem przebiegała pozytywnie. Przy próbach muzycznych z kierownikiem przedstawiania byłam od samego początku do tygodnia prób generalnych — nie dostrzegana. Wszystkie arcytrudne duety z partnerką Adalgisą (druga wielka partia mezzosopranowa), które uważam za najtrudniejsze w całej operze, przygotowywałam i śpiewałam solo. Jedyną możliwością spotkania z partnerką był dopiero tydzień prób generalnych, czyli od razu start z orkiestrą. Balam się również pierwszych prób z reżyserem, jako że pani reżyser nie znała mnie ze sceny. Początkowo praca wyglądała niezbyt zachęcająco i próbowałam niewiele. Po niedługim czasie reżyser przekonał się do mojej solidnej pracy i

poświęcił mi więcej czasu. Dlatego jestem jej bardzo wdzięczna za dalszą miłą współpracę, czego niestety nie mogę powiedzieć o stronie muzycznej, nad którą pracowałam z dyrygentem.

Kto z realizatorów opery ma największe do powiedzenia?

Uważam, że jednak kierownik muzyczny, biorąc pod uwagę, że to jednak teatr operowy i powinny liczyć się tylko sprawy muzyczne, a szczególnie przy takim dziele jak „Norma”.

A kto miał największe do powiedzenia przy „Normie”?

To jest i pozostanie dla mnie wielką niewiadomą.

Kto więc powinien pomóc pani w przygotowaniu tak trudnej i odpowiedzialnej partii?

— Powinien kierownik muzyczny, niestety, zmuszona byłam opracować „Normę” sama.

Sama, a więc bez uwag i być może pewnych trudności typu: „nie tak, ale tak”...

Pozornie może się tak wydawać. Te samodzielne opracowanie trudniła mi jednak niesprzyjająca atmosfera w teatrze, w wyniku której odnosiłam wrażenie, że wszyscy odwrócili się ode mnie. Świadomość ta bardzo mi przeszkadzała, a wiadomo jak duża rolę przy opracowaniu partii odgrywa psychika.

Jak czuje się śpiewaczka, która dowiaduje się, że opera w której ma śpiewać jest głównie przygotowywana z myślą o innej sopranistce, a ona będzie tylko dublerką?

Przeżywałam to od samego początku i nie miałam tego za złe dyrekcji teatru, gdyż uważam, że moja koleżanka jest tak wspaniałą śpiewaczką, że premiera mogła się jej należeć. Wymagałam tylko jednego, traktowania mnie w pracy na równi z koleżanką. Niestety, tego mi odmówiono.

Podobno próby muzyczne z panią nie przebiegały pomyślnie bo śpiewała pani „pod dźwiękiem”?

Jest to tylko jednostkowa opinia niektórych moich „serdecznych” i „życzliwych” koleżanek.

Jak rzutują na kondycję wokalną śpiewaczki zakulisowe rozgrywki?

Odgrywają najważniejszą rolę. Mogą nawet spowodować niemożność wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Miałam już na to przykłady. Podłoże psychiczne było szczególnie ważne przy opracowywaniu tak trudnej partii jak „Norma”, gdzie zdana byłam tylko na samą siebie.

Widzę, że pani to szczególnie ciężko przeżywa?

Tak, szczególnie ciężko, chociażby dlatego, że jestem osoba bardzo wrażliwa i krucha psychicznie. To, że jestem wrażliwa, można odczuć w mojej grze aktorskiej.

Czy brak odporności psychicznej powoduje, że może pani stracić formę wokalną?

Na pewno jest to możliwe. W takich sytuacjach może pomóc tylko żywioła rodzina i słodkie uśmiechy mojej córeczki.

Co ją wzbogaca i podnosi?

Miła, serdeczna i sprzyjająca atmosfera w pracy, gdyż każdy zawód pochłania nam 50 procent życia.

Z relacji obserwatorów próby generalnej „Normy” wiem, że zaśpiewała pani fenomenalnie, co specjalnymi owacjami nagrodziła nawet orkiestra. Ale chyba wiedziała pani, że powtórzenie partii „Normy” za

dwie dni, podczas gdy na regenerację sił po jej wykonaniu trzeba ok. 10 dni, może spowodować ujawnienie się zmęczenia w głosie, nawet tak mocnym jak pani?

Nie była to moja nierozwaga, zdawałam sobie sprawę z tego, jakie mogą być konsekwencje, ale niestety jako skromna śpiewaczka nie miałam na to żadnego wpływu. Więcej, nie miałam odzias zapropnować dyrekcji zamkniętej próby generalnej, na której mogłabym markować. Stało się inaczej, ale publiczność, która przysłała na tę próbę z takim zainteresowaniem, wypełniając sale i balkon, płaciąc przy tym za bilety, nie wolno oszukiwać. Należało się jej tyle samo co publiczności premierowej.

Bardziej zależy pani na opinii recenzentów, publiczności czy kolegów z teatru?

Bardziej zależy mi na opinii publiczności, gdyż jest nacownym, obiektywnym świadkiem, wynagradzającym nasz trud wspaniałymi owacjami. Zależy mi również na opinii kolegów, ale tylko tych naprawdę życzliwych. Jeśli chodzi o recenzentów, to proszę mi wybaczyć, prawdą jest, że nigdy mnie nie rozpieszczali, ale na ten temat nie chciałabym się wypowiadać.

Z DANUTĄ SALSKĄ rozmawia BOHDAN GADOMSKI

Trzynaście wysokich „c”

Bardzo zależy mi na opinii publiczności, gdyż jest nacownym, obiektywnym świadkiem, wynagradzającym nasz trud wspaniałymi owacjami. Zależy mi również na opinii kolegów, ale tylko tych naprawdę życzliwych. Jeśli chodzi o recenzentów, to proszę mi wybaczyć, prawdą jest, że nigdy mnie nie rozpieszczali, ale na ten temat nie chciałabym się wypowiadać.

A jeżeli po premierze czyta pani, że „Danuta Salska w tytułowej partii drugiej obsady śpiewała barwnym i ładnym sopranem, czystym jedynie w górnych rejestrach skali. Obok trudnego, idealnego pod względem intonacji duetu z Adalgisą, słuchaliśmy prawie o pół tonu niżej śpiewanych partii w średnicy skali, z najsłynniejszą arią „Casta Diva” włącznie, to zdumiało nas, jak można nie trafić we właściwą tonację początku pa tak długim wstępie orkiestrowym”?

Zdawałam sobie sprawę, że aria „Casta Diva” była na samym początku zaśpiewana nieczysto, ale nie mogę pogodzić się z opinią, że cała moja partia była zaśpiewana za nis-

ko. To boli, że tak wytrawny recenzent jak Anna Izykowska-Mironowicz nie widziała w moim wykonaniu „Normy” ani jednego pozytywu. Już sam fakt zaśpiewania od początku do końca tak trudnej partii o tym samym natężeniu dźwięku przekonuje, że zostałam trafnie obsadzona. Jeżeli chodzi o niezbyt czyste wykonanie „Casta Divy”, to było związane (w moim przypadku) ze zbyt odległym ująwieniem w głębi sceny, w otoczeniu solistów, chóru na poboczach i na proscenium, co znacznie wytłumia dźwięk, tym bardziej że nie śpiewa się „Casta Divy” na forte.

Swobodniejsza i pewniejsza na premierze była pani dopiero w drugim akcie?

Uważam, że równie swobodna i pewna byłam w obu aktach, choć drugi akt daje

odniesienie pełnego sukcesu, ale mam czysto prywatną satysfakcję, że w ogóle stanęłam na scenie i jednak zaśpiewałam, nie załamalam się do końca, a były ku temu powody.

Ciekawy jestem czy uda się pani w najbliższym czasie wyjść nieco z cienia pierwszej gwiazdy Teatru Wielkiego w Łodzi, Teresy May-Czyżowskiej?

Nie wiedziałam do tej pory, że jestem w cieniu Teresy May-Czyżowskiej, gdyż przez 10 lat byłymy w ogromnej przyjaźni i nigdy nie próbowałam z nią rywalizować, czego nie będę czynić także w przyszłości. Będę po prostu wykonywała swoją pracę w teatrze na tyle, na ile będzie mnie stać.

Obecnie czeka pani nowe zadanie: Tatiana w „Eugeniuszu Onieginie”, którą śpiewała pani z tak dużym powodzeniem w RFN, o czym donoszą niemieckie recenzje. Z jakimi nadziejami, a może i obawami, przystępuje pani do tej pracy?

Tatianę w „Eugeniuszu Onieginie” śpiewałam w Dortmundzie oraz gościnnie na innych scenach operowych w sumie ok. 50 przedstawień w ciągu 2 sezonów, i to rzeczywiście z wielkim powodzeniem. Jak mówiono, tylko Polka może oddać w ten sposób ciepły charakter tej postaci. Niemki są zbyt zimne. Szczególnie trudne jest przeobrażenie się młodej dziewczyny w dorosłą kobietę. Myślę, że swoimi zadaniami aktorskimi zdołałam przekonać niemiecką publiczność o prawdziwości tej przemiany. Śpiewałam w języku niemieckim. Obecnie opracowuję Tatianę w języku polskim, czego bardzo się boję. Po prostu czasami lepiej jest uczyć się nowej partii od początku, aniżeli jej przeuczania z jednego języka na drugi. Ale mam nadzieję, że potrafię podjąć ten trudny zadanie. Reżyseruje Maciej Prus, któremu szczególnie ufam w pracy i jestem zadowolona, że będę pracowała właśnie z nim.

Jak długo, gdzie i co śpiewała pani w RFN?

Do RFN wyjechałam w 1978 roku, byłam tam dwa i pół roku, na stałe w teatrze operowym w Dortmundzie, z występami w innych teatrach RFN, Holandii i Szwajcarii. W repertuarze miałam: Mimi w „Cyanerii”, Liu w „Turandot”, Tatianę w „Eugeniuszu Onieginie”, Donnę Elwirę w „Don Juanie”, Antoninę w „Opowieściach Hoffmana”, tytułową „Undinę”. W ciągu dwóch lat miałam 8 premier, po 13 przedstawień w miesiącu. To bardzo dużo, z czego mogłam się tylko cieszyć, gdyż dużo śpiewając można się naprawdę rozwijać. Długo przetrwa w śpiewaniu są raczej niewskazane, gdyż głos trzeba rozgrzewać zawsze na nowo. I nigdy nie jest się pewnym swoich sił.

Czy były możliwości zrobienia większej kariery na Zachodzie?

Były i to ogromne, ale niestety był już najwyższy czas, aby zdecydować się na urodzenie dziecka lub nie. Wybrałam to pierwsze, bo kariera śpiewaczki jest bardzo krótka, a życie znacznie dłuższe.

Jak przywitano panią po powrocie do Łodzi?

Wreczono mi wymówienie z pracy, bo nowy dyrektor nie znalazł mnie z poprzedniego okresu pracy w teatrze. Uratował mnie fakt, że właśnie spodziewałam się dziecka.

Wkrótce powróciła pani do teatru. Co było momentem przełomowym i co zdecydowało, że był to udany come back?

Po urlopie macierzyńskim zaproponowano mi zaśpiewanie partii Elisabeth w „Tannhäuserze” i dano ultimatum, albo zostaje w teatrze i pracuje albo

będzie zwolniona. Musiałam więc podjąć się zaśpiewania tej partii, choć nie powinienam śpiewać Wagnera. Ku mojemu zdziwieniu zaśpiewałam pierwszą premierę. Jak wynikało z recenzji była to moja bardzo udana premiera.

Później nie śpiewała pani w Łodzi pierwszych premier?

Niestety nie, zawsze byłam w cieniu swoich koleżanek.

W RFN?

Śpiewałam tylko i wyłącznie pierwsze premiery, w samym kontrakcie były dla mnie zastrzeżone wyższe podane premiery. Tam żadna śpiewaczka nie była pokrzywdzona, bo każda miała swoje premiery w zależności od gatunku głosu.

Za to 6 maja 1983 r. śpiewała pani pierwszą premierę w Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi. Skąd ta nietypowa dla operowej śpiewaczki propozycja?

Dyrektor Bogdan Hussakowski, z którym pracowałam przy „Tannhäuserze”, zaproponował mi wzięcie udziału w najbliższej premierze Teatru im. S. Jaracza w sztuce Berenta „Ozimina” w reż. Andrzeja Maja. Gram i śpiewam rolę divy operowej, która wg książki Berenta zrobiła niesamowitą karierę na największych scenach świata i po kilku latach zostaje zaproszona do jednego z najbardziej renomowanych salonów Warszawy na przyjęcie wydane właśnie na jej cześć. W „Oziminie” śpiewam jedną arię i gram rolę aktorki.

Jak układała się współpraca z aktorami teatru dramatycznego?

Okazali się wspaniałymi kolegami i jestem bardzo zadowolona z możliwości spotkania z nimi na scenie. Chciałabym jeszcze skorzysta z ich doświadczenia. Dopiero tutaj poczułam się, że jestem rzeczywiście śpiewaczką, wynika to z traktowania mnie przez kolegów aktorów.

Występuje pani tylko w teatrze?

Tak. Na razie staram się nie korzystać z wielu propozycji koncertowych, chociażby dlatego, że na wychowaniu mam małe dziecko. Praca w Teatrze Wielkim pochłania mi wystarczająco dużo czasu.

Posiada pani dokumentację swojej „ulotnej” przebież sztuki w formie zapisu radiowego, pływowego, telewizyjnego?

Do tej pory nie miałam najmniejszej możliwości zarejestrowania swego głosu na taśmie.

Jak długo trwa żywot śpiewaczki operowej?

Bardzo krótko.

Czy można go przedłużyć?

Raczej nie, zależy to od tego na ile instrument głosowy pozwoli śpiewaczce na długie śpiewanie. Jeżeli chodzi o mnie, wierzę, że nie będę zbyt długo śpiewała, gdyż znając swój temperament i jego wykorzystanie w każdej partii, spałam się ogromnie.

Nie będzie się pani starała mimo wszystko trwać na scenie?

Nigdy.

Podobno niedawno złożyła pani wymówienie z pracy w Teatrze Wielkim, którego dyrektor Pietras nie przyjął i podał na drobne części?

Było zupełnie inaczej, a to co pan mówi krayło tylko w formie plotki... Nikt dokładnie nie wiedział oprócz dyrektora i mnie, jak jest naprawdę.

A jak jest?

Przy niesprzyjającej atmosferze pracy nad „Normą”, zdecydowałam, że będzie lepiej, jeśli złożę rezygnację z tej partii. Dyr. Pietras nie przyjął jej, za co dzisiaj jestem mu ogromnie wdzięczna. Uważam, że dzięki jego życzliwości dotarłam do końca i zaśpiewałam jednak drugą premierę.

A kiedy naprawdę odejdzie pani z teatru?

Właśnie zastanawiam się nad wyjazdem na kolejny kontrakt do RFN, skąd wciąż dostaje liczne listy. Z Łodzi odejść wtedy, kiedy głos odmowi mi posłuszeństwa.

Cieszę się, że nasza najwspanialsza rozmowa koncertowa jest tak optymistycznym akcentem!



Danuta Salska w partii „Normy” na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi

Foto: Chwałistaw Zieliński

Pacjenci, lekarze i znachorzy

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł Jolanty Wrocławskiej pt. „Znachor może — lekarz musi”, zamieszczony w nr 20 „Odgłosów”. Przyjąłem zaproszenie do dyskusji ze względu na ważne zagadnienia — jakimi są zdrowie i życie człowieka.

Przypuszczam, że każdy z nas, potencjalnych pacjentów w swoim życiu korzystał z usług uzdrowiskowej służby zdrowia. Odczucia są różne. Jedne pozytywne, inne negatywne. Jedno jest pewne, bezsporne. Wszędzie tam, gdzie zatrudnieni są zwyczajni ludzie, niekomputery — istnieje możliwość popełnienia błędów. Rzecz w tym, aby z każdym miesiącem, z każdym rokiem było ich coraz mniej, dając w przyszłości do eliminowania ich z naszego życia społeczno-gospodarczego, politycznego, moralnego.

W żaden sposób nie mogę pogodzić się ze stwierdzeniem, jakoby główną przyczyną wielkiego zainteresowania paramedycyną, bioenergoterapią, radiestezją, zarówno u nas w kraju, jak i za granicą — był niski poziom kultury umysłowej ludności. Czy rzeczywiście możemy zaliczyć do takiego, uproszczonego stwierdzenia — wielkie tłumy ludzi chorych, kalekich, ułomnych, zgromadzonych w Hall Sportowej w Łodzi, w innych większych miastach w kraju? Ludzi cierpliwie oczekujących nieraz po kilka dni na bioenergoterapię Nardeliego, misterium Harris'a? A przecież tych nieszczęśliwych, kalekich ludzi ktoś informował, kierował, opinał. Obecnie na domiar nieszczęśliwej przypina im się „łatkie” ludzi nierównoważonych, ograniczonych na umyśle. Niezwykle bolesne spływanie, uproszczenie całego problemu, z którym trudno pogodzić się człowiekowi choremu, ułomnemu, jak również zdrowemu na ciele i umyśle.

Każdy z nas ma tylko jedno życie. Trudno się dziwić człowiekowi, który zawiódł się na medycynie naukowej, gdzie nie pomagają wszelkie możliwe stosowane środki, umiejętności sztuki lekarskiej — ludzie chwytają się ostatniej deski ratunku, jaką jest i była w przeszłości medycyna ludowa, ziołolecznictwo, akupunktura a obecnie radiestezja, bioenergoterapia, bioelektronika. Przyskowiec mówi: „Tonąca brzytwa się chwytą”. To prawda.

Nie należy doszukiwać się winy w środkach masowego przekazu, które moim zdaniem w sposób bardzo obiektywny relacjonowały powyższe fakty, zdarzenia, które miały miejsce i mają nadal na terenie całego kraju. Żurnaliści nie szukali, nie szukają „sensacji”, nie wysmażają cytadeł na pierwszą, ani na ostatnią stronę tygodniowego numeru. Nie robią tzw. „atmosfera”. Taka atmosfera istniała i nadal istnieje, a przyczyną należałoby szukać gdzie indziej, raczej na swoim podwórku w bezpośredniej styczności z pacjentami, w przychodni, ośrodku zdrowia, szpitala.

Nie da się, niestety, ukryć, iż w ostatnim czasie zaufanie pacjenta do uzdrowiskowej służby zdrowia, jakby zmalało. Trudno sobie wyobrazić, aby chorego człowieka całymi godzinami wystawał w kolejkach do lekarzy rejonowych. Czekal na przyjęcie do specjalisty po kilka tygodni, na wyniki badań dodatkowych RTG, EKG, oraz inne bardziej skomplikowane badania. Brakuje kłiszy, szlucznego tworzywa na zęby, protez w pracowniach dentystrycznych, laboratoriach. Natomiast w spółdzielniach lekarskich tych deficytowych materiałów nigdy nie brakuje. Pacjenci są zadowoleni od reki, sprawnie i szybko.

Skąd bierze się taka kolosalna różnica? Nie trudno się domyślić. To wszystko odstrasza przeciętnego pacjenta od korzystania z usług uzdrowiskowej służby zdrowia. Pacjent nieraz woli zapłacić, wydać ostatnie oszczędności, uszczuplić budżet domowy jedynie dlatego, aby móc otrzymać wszelką pomoc związaną z ustaleniem diagnozy, ewentualnie dalszym skutecznym leczeniem w możliwie szybkim terminie. Osobiście nie wierzę w takie przypadki, gdzie osoba chorego w pierwszej kolejności udaje się po poradę do znachora cudotwórcy, różdżkarza — zamiast lekarza. Nie wierzę również w stawianie rozpoznania na „oko”, na podstawie linii papilarnych reki, wyrazu oczu, owłosienia, i tym podobnych bodźców określeń. Diagnoza musi być oparta na podstawie własnej obserwacji pacjenta, badań podstawowych, objawowych, dodatkowych. Wszystkie badania razem wzięte mogą pozwolić na ustalenie właściwej diagnozy, dalszego leczenia pacjenta. To wszystko należy i trzeba pacjentowi wytłumaczyć przy jego pierwszej wizycie w gabinecie lekarskim, nie tylko i wyłącznie ograniczając się do wydawania nakazów, zakazów, wypisywania recept, zwolnień. Traktować pacjenta w sposób kulturalny, życzliwy — jednocześnie informując rzeczowo, obiektywnie o wynikach badań, leczenia.

Za służbę zdrowia, nie zrobią tego środki masowego przekazu, żurnaliści posadzeni o szukanie łatwej sensacji, rozdmuchiwanie problemu. Problem istnieje od lat, o czym nie pisano, nawarstwia się z każdym rokiem kłedy jeszcze nikt z nas nie słyszał o Harrisie, Nardelium, bioenergoterapii, radiestezji. Będzie istniał tak długo, dopóki będą lekarze i pacjenci.

Na zakończenie, chciałbym nieco poświęcić uwagi sprawom związanym z pracą i płacą, nie tylko w placówkach służby zdrowia. Jak to wieszcie się dzieje, że jedni lekarze pracując przez całe swoje życie, harując na dyżurach, nie dorobili się w życiu niczego. Natomiast inni żyją ponad stan. Nie tylko zmieniają samochody, jak lekarz-kawczyk, posiadają dachy i wille, lecz również konie do przejazdki pod wierzch, niezmiernie dumni dziedzice, ekonomowie posiadanych włości i dworzków.

Człowiek wchodzący w samodzielne, dorosłe życie, świadomie wybierając swój zawód nie kieruje się tylko i wyłącznie pobudkami natury materialnej, chociaż i one są niezbędne do życia. Judymyś dziś nie ma. Są natomiast ludzie kochający swój zawód, pracę i mimo wszystko, gdyby raz jeszcze przyszło im wybierać zawód — zdecydowałiby się na ten sam, nie inny. Istnieją pewne predyspozycje do wykonywania takich zawodów, w których na co dzień spotykamy się z ludźmi, nie z martwymi przedmiotami natury. Do takich zawodów zaliczyłbym zawód lekarza, nauczyciela, prawnika. Od tych ludzi zaliczyłbym zawód lekarza, nauczyciela, prawnika. Od tych ludzi w dużej mierze będzie zależała przyszłość naszych dzieci, nas samych. Praca z ludźmi nieszczęśliwymi, zagubionymi, zapomnianymi, pokrzywdzonymi przez życie i los, oprócz stresów, zwątpienia, rozczarowań, wyrzeczenia — przynosi wiele satysfakcji osobistych, poczucia dobrze spełnionego obowiązku wobec siebie i innych. O tym wszystkim należy pamiętać.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

Dzieci w sanatorium

W nr 18 „Odgłosów z dnia 30 kwietnia br. ukazał się artykuł Edwarda Eryla „Z mamą w sanatorium”, dotyczący Sanatorium dla Dzieci i Matki „Prasnińska” w Łodzi. Jestem kuraczką z turnusu na przełomie kwietnia i maja. Chcemy za pośrednictwem Waszego tygodnika podziękować za wspaniałą opiekę, dużo serca włożone w leczenie i rehabilitację naszych pociech personelowi — ordynatorowi p. Henrykowi Stanisławskowskiemu, dyrektorowi Michałowi Rogowskiemu, magistrowi rehabilitacji: p. Jabłońskiej, p. Rogowi i wszystkim pozostałym, jak również wyrazić uznanie autorowi artykułu za propagowanie idei tworzenia podobnych ośrodków sanatoryjnych. W naszych miejscach zamieszkania nie mamy praktycznie możliwości leczenia dzieci, jeżeli nawet znajdzie się jakaś poradnia specjalistyczna, to kolejki są ogromne. Z drugiej zaś strony wiemy, że wiele zakładów produkcyjnych posiada własne ośrodki czasowe, które są czynne tylko w miesiącach letnich, przez pozostałą część roku świecą pustkami. Można byłoby tworzyć w nich podobne ośrodki jak to uczynili włókniarze, właściciele „Prasnińki”. Jak bardzo takie sanatoria są potrzebne, najlepiej wiedzą lekarze pediatry, którzy nie mają dokąd kierować chorych dzieci — Konstancin jest jeden i przyjmuje te najcięższe, a i tam na miejsce czeka się latami. Co robić z całą rzeszą dzieciaków cierpiących na wady, które nie lezone w porę skończy się trwałym, uciążliwym kalectwem. My, matki, głęboko przeżywamy cierpienia naszych dzieci, dlatego jesteśmy wdzięczne tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób pragną ulżyć ich doli.

Obecna trudna sytuacja gospodarcza nie wstrzymuje, że środki finansowe przeznaczone na ochronę zdrowia najmłodszych wzrosła tak bardzo, sów srosła wszystkim potrzebom. Stąd też inicjatywę tworzenia sanatoriów, ośrodków rehabilitacji dla dzieci w nadających się do tego celu domach czasowych należy uważać za bardzo cenną i godną naśladowania!

Korzystając z okazji chcemy również wyrazić swoje oburzenie z powodu opiekałości i lekceważenia pacjentów przez łódzkie pogotowie ratunkowe. Dnia 27 kwietnia br. zdarzył się w naszym sanato-

rium wypadek — dziecko zламаło obojczyk — karetka, mimo że wezwana natychmiast, przyjechała dopiero po czterech godzinach! Nie jesteśmy w stanie zrozumieć, kto pozwala pracownikom pomocy dożnej traktować swoje obowiązki w ten sposób.

Poprzedniego dnia widziałymy „nyske” ze znakiem „R”, która stała ponad godzinę na moście w Arturówku. Było to między piętnastą a szesnastą dwadzieścia. Kilka z nas podeszło z ciekawości bliżej, myślałyśmy, że kogos reanimują, ale dwóch lekarzy i sanitariusz opalali się.

Jeżeli zespoły zamiast oczekiwać na wezwanie, postępują w ten sposób, to nie dziwne, że łodzianie godzinami czekają na przyjazd pogotowia. Nasz polamany mały nie był więc wyjątkiem. Czas, aby się tym ktoś zainteresował.

BARBARA NOWAKOWSKA z Wrocławia
JADWIGA MSZYCA z Bielska-Białej
LUCYNA BRONISZEWSKA z Turka
KRYSZYNA DROZDOWSKA z Torunia
ALEKSANDRA PARYSZ
IRENA CHOŃSKA z Wrocławia
MALGORZATA LIJAK z Radomska
ALICJA GŁOSKO z Radomska

Tydzień Gór w Łodzi

2-8 maja 1983 roku odbył się w Łodzi „Tydzień Gór”. Organizatorami jego byli pracownicy naukowscy i studenci Instytutu Geografii Uniwersytetu Łódzkiego: Zakładu Geografii Miast i Turyzmu, Studenckiego Koła Naukowego i Akademickiego Klubu Turystycznego „Meander”.

W pierwszym „Tygodniu Gór” organizowanym w Łodzi starano się nawiązać do znakomitych tradycji Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Związku Ziemi Górskich, które w latach 20-tych i 30-tych inicjowały spotkania o podobnym charakterze. Nosiły one różne nazwy: „Tydzień Gór”, „Tydzień Tatrzański”, „Święto Gór”, lecz wszystkie miały wspólną cechę, jak najszerzego i najwzajemniejszego ukazania gór. Referaty były bardzo zróżnicowane tematycznie, poruszając od ochrony środowiska i idei tworzenia Parków Narodowych aż do zagadnień z zakresu architektury, muzyki i twórczości ludowej. W spotkaniach tych czynnie uczestniczyli tak doskonale znawcy zagadnień górskich, jak m.in. prof. J. G. Pawlikowski, prof. W. Goetel, prof. Wł. Szafer, mjr Br. Romaniszyn i K. Stryjeński. Często „Tygodniom Gór” towarzyszyły imprezy folklorystyczne oraz wycieczki terenowe.

Organizatorzy „Tygodnia Gór” z roku 1983 w miarę własnych możliwości starali się wykorzystać dawne wzory i zaprezentować góry Polski i świata w miarę wszechstronnie. Teoretyczne poznania gór i ich problemów umożliwiła sesja popularyzatorska, która odbyła się w pierwszym z czterech dniach. W imprezie organizowanej przez geografów dominowała tematyka dotycząca środowiska przyrodniczego gór oraz ich zagospodarowania. Prof. dr habil. Halina Klatkowska przedstawiła budowę geologiczną, rzeźbę oraz działalność lodowców na Kaukazie, natomiast dr Krzysztof Kołuchowski omówił przewodnie cechy klimatu górskiego i jego wpływ na pigrowość roślinności w górach Turcji, w Kaukazie, Płynie, Alpach Julijskich i Tatrach.

Doc. dr habil. Stanisław Liszewski w swoim wykładzie pokazał jak środowisko przyrodnicze w wysokich górach (Sierra Nevada) wpływa na zróżnicowanie się form osadniczych oraz determinuje działania gospodarcze człowieka. Mgr Jarosław Fischbach zaprezentował kolejne etapy zagospodarowania turystycznego Tatr Polskich, poczynając od połowy XIX wieku i kończąc na roku 1983. Kilka wystąpień poświęconych było na relacje z wypraw w góry wysokie, m.in. Marek Grochowski przybliżył uczestnikom „Tygodnia Gór” historię kolejnych polskich wypraw na K-2, dr Grzegorz Wasilak zniósł relację z wyprawy Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego w Andy.

Obok prezentacji gór Polski i świata znalazło się również wystąpienie Andrzeja Wilczyńskiego dotyczące tak bardzo ważkiego i nie zawsze ujmowanego sobie problemu, jakim jest etyka w wspinaczkach wysokogórskich i zwykłych wycieczkach górskich.

Podczas sesji popularyzatorskiej bardzo często nawiązywano do historii Towarzystwa Tatrzańskiego m.in. uczynił to w swoim referacie dr Adam Chyżewski. Przypomniał on bogatą 110-letnią historię. Następnie Jacek Ciesielski omówił problemy, z jakimi borykał się Łódzki Oddział PTT, który powstał przed sześćdziesięciu laty. Całość tych wspomnień uświetnił prof. Jan Goldstein, który opowiadał o swoich wycieczkach w góry w latach dwudziestych.

W czasie trwania „Tygodnia Gór” zorganizowane były dwie wystawy prezentujące fotografie, mapy, przewodniki i książki dotyczące gór. Organizatorzy zadbał także o umożliwienie gościom i osobom zaproszonym zakupić książki, albumów, map i przewodników po górach Polski i świata, na kiermaszu, który odbywał się w przerwach obrad.

Podtrzymując tradycje wspólnych wycieczek górskich w ramach „Tygodnia Gór”, zorganizowano Rajd po Ziemi Kłodzkiej.

W obradach i wycieczkach „Tygodnia Gór” ogółem wzięło udział około 350 osób, w tym wiele spoza Łodzi. Licznie przybyli na „Tydzień Gór” geografowie z innych ośrodków akademickich w Polsce. W dyskusji, która odbyła się po zakończeniu obrad duża liczba osób postuluwała, aby spotkania o podobnym charakterze były organizowane także w przyszłych latach.

JAROSŁAW FISCHBACH

Straż pożarna w Prasowych Zakładach Graficznych

Wszyscy jeszcze pamiętamy pożar drukarni na ul. Żwirki. Co zatem zrobić, aby tak się nigdy więcej nie stało? Mówią o tym strażacy — ochotnicy z PZ Graficznych na uroczystym spotkaniu, które odbyło się 25 maja br. z okazji Dni Ochrony Przeciwpożarowej.

Zadaniem naszej OSP jest głównie udział w prowadzonej przez zakład przeciwpożarowej działalności zapobiegawczej i udział w przygotowaniu zakładu do obrony przeciwpożarowej w ramach zadań obrony cywilnej, a także branie udziału w akcjach operacyjno-technicznych.

W związku z tym, nie organizujemy i nie przeprowadzamy kontroli przeciwpożarowej w zakładzie, a jedynie bierzemy udział w przeprowadzanych kontrolach, czujemy nad przestrzeganiem przepisów przeciwpożarowych w zakładzie, współdziałamy w uświadamianiu i szkoleniu pracowników zakładu w zakresie zapobiegania pożarom oraz ich zwalczania.

W latach 1980-1982 w działalności OSP następuje regres i to z wielu przyczyn. Jeszcze próbowało się prowadzić szkolenie, różnego rodzaju pogadanki przez radiowęzeł, konkursy — nie dawało to jednak spodziewanego efektu.

Praca ruszyła dopiero od 9.III.1983 r. z chwilą wyboru nowego zarządu i konkretnych ustaleń z dyrekcją zakładu, co do zorganizowania straży, wyposażenia OSP i szkolenia. W kwietniu utworzono jednostkę operacyjno-techniczną w postaci dwóch sekcji gaśniczych, natomiast z pozostałych członków OSP, którzy z uwagi na wiek są mniej sprawni fizycznie, względnie nie posiadają odpowiednio dobrego zdrowia, utworzyliśmy grupy kontrolno-zapobiegawcze, które po odpowiednim przeszkoleniu będą prowadziły działalność prewencyjną w zakładzie i wyciąży się do przeprowadzanych kontroli stanu zabezpieczenia przeciwpożarowego.

W tym roku przeszkolimy również wszystkich funkcyjnych członków OSP tj. naczelnika i jego zastępców, dowódców sekcji i motopompistów, a także będziemy prowadzić intensywne szkolenie ze sprzętem obu sekcji gaśniczych i to zarówno w zakładzie, jak i na przewidzianym krótkotrwałym obozie w ośrodku wypoczynkowym w Sulejowie.

NACZELNIK OSP PRZY PZG
JERZY MAZERANT

Stypendia dla twórców

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi informuje, że od 1 stycznia 1983 roku ustanowione zostały stypendia twórcze Prezydenta Miasta Łodzi.

Celem ustanowienia stypendiów jest zapewnienie skutecznego znaczenia państwowego nad profesjonalną twórczością artystyczną, w szczególności przydatną dla instytucji kultury miasta. Stypendia przyznawane będą na podstawie opinii Komisji Stypendialnej w dziedzinach: plastyka, literatura, teatr, muzyka, architektura, sztuka wizualna.

W skład Komisji Stypendialnej wchodzi przedstawiciele poszczególnych dyscyplin sztuki, krytycy sztuki, administratorzy życia artystycznego Łodzi.

Wnioski o stypendia twórcze mogą składać na specjalnych formularzach: indywidualni twórcy, instytucje artystyczne, związki twórcze, Wydział Kultury i Sztuki.

Szczegółowych informacji udziela Sekretariat Komisji Stypendialnej przy Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 194, p. 249, tel. 310-99.

Rozpatrzenie pierwszych wniosków przewiduje się po 1 czerwca 1983 roku.

Łódź, dnia 30 maja 1983 roku

Dyrektor Wydziału
mgr RYSZARD CZUBACZYŃSKI

Wyjaśnienie Urzędu Celno

W numerze 21(1312) z 21.5.83 z „Odgłosów” ukazała się pomowa wina przeprowadzona przez E. Iwanickiego. Do tekstu wkradły się drobne pomyłki drukarskie, które jednak w sposób istotny nie kształciły fragmenty przekazanej informacji, i tak:

- 1) dot. pytania „Czy nie więcej nie można wywieźć?” — w przedostatnim wierszu odpowiedź jest „1.000 zł”, winno być „1.500 zł” (co za każdy następny kilogram kawy);
- 2) dot. pytania „Jak wygląda obecnie sprawa obuwia, futer itp.?” — część odpowiedzi poczynając od słów w 7 wierszu powinna brzmieć: „odzież futrzana i wyroby odzieżowe futrzarskie...” dalej powinno być: „Natomiast co za odzież i wyroby odzieżowe z innych skór futrzanych kształtują się następująco: za odzież...” dalej jest prawidłowo i następnie „Pozostałe wyroby odzieżowe futrzarskie: ...” i dalej jest dobrze.

Pominięte słowa „odzieżowe” ma znaczenie lotne, bowiem ma inne wyroby futrzarskie nieodzieżowe przewidziane jest odrębne cło (wyższe);

3) dot. pytania „Jak kształtuje się opłata celna za tkaniny...”

— jest w odpowiedzi „jedwabie i jedwabopodobne — 1 kg bez cła, każdy kolejny kilogram 800 zł opłaty.”

— powinno być „jedwabie i jedwabopodobne — 1 kg bez cła, każdy kolejny kilogram 1.500 zł.”

Ponieważ informacje zawarte w wypowiedzi mogą zainteresować wykształcających w celach praktycznych, proszę o sprostowanie omówionych błędów.

Dyrektor Urzędu
mgr ZBIGNIEW PRZYBYŁAK

OD REDAKCJI: Powyższe wyjaśnienie wymaga sprostowania: otóż „drobne pomyłki” nie są pomyłkami drukarskimi, bowiem tekst rozmowy był autoryzowany przez dyr. Z. Przybyłaka, który w przedmiotym mu maszynopiśmie w w.w. fragmentach nie znalazł żadnych nieprawidłowości godzących się na druk całości w tej postaci, w jakiej ona ukazała się na łamach „Odgłosów”.

Ogólnopolski konkurs Miss Polonia

Wybieramy „Miss Ziemi Łódzkiej”

Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat wybierać będziemy w tym roku najpiękniejszą Polkę, która reprezentować będzie nasz kraj na dorocznym konkursie Miss Świata, organizowanym w Londynie przez Miss WORLD. Głównym organizatorem Ogólnopolskiego Konkursu MISS POLONIA i jednocześnie przedstawicielem Biura Miss WORLD w Londynie jest „Stożeczka Estrada” poprzez powołane przez nią Biuro Organizacyjne Miss Polonia. Współpracują z nią: Studio-2 Telewizji Polskiej, „Express Wieczorny” oraz Redakcja „Trójki” Polskiego Radia.

Akcja poszukiwania polskich piękności obejmuje cały kraj — bywa się etapami, przy czym istnieje ścisły podział na regiony sąsiadujące przez jedenaście wyodrębnionych agend regionalnych. Najpiękniejsze kandydatki z poszczególnych regionów staną do finałowego konkursu, który odbędzie się w Warszawie.

Organizacji konkursu, którego efektem ma być wybór „MISS ZIEMI ŁÓDZKIEJ”, podjęło się Przedsiębiorstwo Państwowe „ESTRADA ŁÓDZKA”, z którą współdziała nasza popularna popołudniówka — „Express Ilustrowany”. Ponieważ jednak sądzimy, że i wśród naszych czytelniczek nie brakuje pań, które z powodzeniem mogą ubiegać się o miano „MISS ZIEMI ŁÓDZKIEJ”, przekazujemy zasadnicze informacje dotyczące konkursu, jak praktycznie dopiero się rozpoczyna. Nadmieniamy równocześnie, że o wspomniany tytuł ubiegać się mogą mieszkanki trzech województw: łódzkiego, sieradzkiego i piotrkowskiego.

A oto warunki przystąpienia do konkursu:

1. Obywatelstwo polskie
2. Ukończone 18 lat do dnia 31 sierpnia 1983 roku, ale nie więcej niż 25 lat ukończone do dnia 30 listopada 83 r.
3. Proporcjonalna budowa ciała
4. Stan cywilny — panna
5. Brak jakichkolwiek oznak inwalidztwa
6. Nie urodziła do tej pory dziecka
7. Dobry charakter, czarująca osobowość, piękna twarz i figura
8. Sposób bycia i obyczajność, które nie sprawia problemów organizatorom Ogólnopolskiego Konkursu Miss Polonia
9. Religia bądź przynależność kandydatki do „jakiegokolwiek towarzystwa nie zabrania jej uczestniczyć w konkursie.

Na eliminacje należy ze sobą zabrać koniecznie sukienkę oraz estetyczny kostium kąpielowy dwuczęściowy. Eliminacje kandydatek do tytułu „MISS ZIEMI ŁÓDZKIEJ”, w ramach konkursu „Miss Polonia 83” odbędą się w poniedziałek, 6 czerwca br. o godz. 10.00 w klubie „TEST” w Estradzie Łódzkiej (ul. Narutowicza 28). Wszystkie kandydatki będą mile widziane, przypominamy tylko w imieniu organizatorów, że niezbędny będzie dowód osobisty lub inny dokument stwierdzający tożsamość.

Wszelkich informacji dotyczących konkursu i jego regulaminu udziela (w odniesieniu do terenu województwa łódzkiego, sieradzkiego i piotrkowskiego) wyłącznie Estrada Łódzka (pokój nr 15, tel. 757-66).

Dokończenie ze strony 1

brycznej szkoły, a jeszcze wcześniej do ochronki, czyli, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli — przedszkola przyzakładowego. Urodził się w Żyrardowie 25 czerwca 1881 roku. Jego ojciec, Józef Hulka był kłaczem, matka, Elżbieta z Howorków przekraczała osnowy. Oboje zaś byli potomkami uchoźców czeskich, którzy w XVII wieku znaleźli w Polsce schronienie przed prześladowaniami religijnymi. Czeskie nazwisko, które po polsku znaczy „laska” posłużyło potem do utworzenia przydomka pod słownym dziewiętnastoletniemu Pawłowi Hulka debiutował jako tłumacz. Zanim to jednak nastąpiło obliczał wypłaty robotników żyrardowskiej fabryki i roznosił korespondencję po jej wydziałach, a po trzynastu godzinach tych zajęć samodzielnie przebrał program gimnazjalny i uczył się języków obcych, a za dnia książki i na obiadzie pieniądze nie starczało — oszukiwał głód papierosami. Tak nauka jak i niedojadanie szybko przyniosły efekty — drugiego tłumacza, także z czeskiego, dokonywał w czasie, gdy choroba zmusiła go do przerwania pracy w fabryce.

Młody tłumacz miał jednak trochę szczęścia i dzięki wstawianictwu niejakiego pana Kostlika zainteresował się nim sam prezes zarządu Towarzystwa Zakładów Żyrardowskich — Dittrich junior, który jak pamiętamy miał dobre serce, a oprócz tego bardzo lubił występować w roli mecenasa i dobroczyńcy. Ową zacytowaną nie tylko sfinansował wyjazd swojego pracownika do sanatorium Frankenstein w Czechach północnych, lecz także przysłał mu stypendium na studia w dowolnie wybranym uniwersytecie. Hulka wybrał Heidelberg, gdzie przez kilka lat zgłębiał problemy filozofii, historii, a nawet teologii. Nawrót choroby zmusił go do przerwania studiów, a ponieważ nieszczęścia chodzą parami, w tym samym czasie dobroczyńcy znużył się Żyrardów. Po wyjeździe Dittricha Hulka-Laskowskiemu cofnięto stypendium.

DITTRICH — OPIEKUN ŻYRARDOWA

budował domy fabryczne, żeby robotnicy mieli gdzie mieszkać, zorganizował przy zakładzie szpital i ambulatorium, aptekę, szkoły i ochronkę, stołówkę, pralnię i kapleńską, a nawet przytułek. W halach produkcyjnych zainstalował wentylację i nawilżanie, zapewniał bezpłatną opiekę lekarską, a jakby tego było mało, dopłacał do oszczędności cywilnych przez robotników i urzędników. Dzieciom chodzącym do ochronki fundował na święta słodycze i owoce, a na Boże Narodzenie nawet buty i ubranka dla sierot. Nic dziwnego, że wdzięczna działwa gromadziła się potem przed marmurowym popieliskiem Karola Dittricha i śpiewała:

„Radości gwiazdzę witamy,
Szczęśliwy dzień dzisiaj mamy,
Przez Pana Dittricha dar,
Bo zawsze nas czeka,
Jego ojcowska opieka.
Więc Ciebie Boże, prosimy
w pokorze,
Za dary Jego, o zdrowie
Jego.”

Trudno dziś ustalić, czy Dittrich wątpił w szczerść, czy w skuteczność dziecięcych modłów, wiadomo tylko, że na wszelki wypadek pomyślał także o innym sposobie chronienia swego zdrowia i wybudował na zapleczu fabryki koszary dla trzystu sześćdziesięciu kozaków, o których Paweł Hulka-Laskowski tak pisał w „Moim Żyrardowie”.

„Nienawidzono ich serdecznie i szczerze. Gdy kolo „matych domków” na krótkiej ulicy Świętokrzyskiej spłoszony koń kozacki strzucił pijanego jeźdźcę i wlekił go za sobą, bo kozak utopił noga w strzemię, świadkowie tego wypadku rozbiegli się na wszystkie strony, nie chcąc mieć nic do czynienia z kozakiem. Kobiety wychylały się z okien i zalamywały ręce, że przecież człowiek i że tużce głową o kamienie, ale doświadczeń mężczyźni odpowiadali: „Juści człowiek to on jest, ale ty mu dopomóż zatrzymać konia i usiąść w siodło, a on cię nahałem zdzieli przez łeb albo jeszcze lepiej, pociągnie cię przed swoje naczelstwo, że go chciałeś zabić”.

Toteż wszyscy odwracali się z odrazą od tej dzicy i każdy myślał w duchu, że dobrze, iż choć jeden z nich zakosztuje tych rozkoszy, jakich nie szczędzili ludności robotniczej”.

Pierwszy strajk robotników żyrardowskich wybuchł, kiedy Paweł Hulka był zaledwie dwuletnim dzieckiem. Już wtedy protestowano przeciwko gwałtownemu wzrostowi czynszów w domach fabrycznych, złościwie wymierzonym karom pieniężnym, żądano usunięcia niemieckich majstrów i inżynierów. Nie były to pretensje grupy niezadowolonych szpularzy, którym wtedy właśnie zamierzali właściciele fabryki obniżyć zarobki — w strajku oprócz ośmiotysięcznej załogi protestowała też większość mieszkańców osady. Reakcją władz carskich była typowa — batalion wojska i pół setki kozaków, a jej efektem było trzech zabitych, ranni i trzydziestu dziewczęciu aresztowanych. Po pięciu dniach walki robotnicy uzyskali zapewnienie, że dostaną zapłatę za dni strajku i że piące szpularzy pozostaną niezmienione. Do 1944 roku jeszcze czterdzieści razy wysiępowali w obronie swoich praw do życia w ludzkich warunkach.

GDY WYBUCHŁA WOJNA

Paweł Hulka-Laskowski był już aktywnym publicystą. Współpracuje z „Myślą Niepodległą”, pisze do „Biuszczu” i „Echa Literackiego”, zamieszcza wiersze w „Sfinksie”. Nastrole żyrardowian z tamtego okresu tak opisuje:

„Rosjanie bardzo szybko awansowali na „naszych”, ale po pierwotnym entuzjazmie przyszło smutne rozczarowanie. Gwardyjskie pułki, które w pierwszych dniach i tygodniach wojny przeszły przez Żyrardów, imponowały nam. Żołnierze tych pułków byli chłop w chłop, rośli, krzepcy, pełni wiary w zwycięstwo, tacy właśnie, jakich wymagał program wojny, mającej zmienić świat w ciągu trzech miesięcy. Ale tymczasem przychodzili wieści wcale niewesołe i zgoła nieprogramowe: Niemcy szli na Paryż i usadowili się nad Marną, a Rosjanie, którzy wkroczyli do Prus Wschodnich, musieli szybko uciekać. (...) Między innymi tygodnie, przez Żyrardów przewalały się wojska, ruch w fabryce kulął i zamierał, że zamarł całkowicie”.

Cośający się Rosjanie demontowali fabrykę, wywozili maszyny, towary i surowce. Wywozili też robotników z rodzinami — dobrowolnie lub pod przymusem. W lipcu 1915 roku wysadzili fabrykę w powietrze. Wkrótce miejsce zabory rosyjskiego zajął okupant niemiecki, który:

„... nakazywał, zabraniał, groził. „Kto się do tego rozporządzenia nie zastosuje, będzie strzelony”. Taki był stereotypowy końcowy zwrot wszystkich tych rozporządzeń. (...) Życie stało się jakiejś pierwotnie, puste i jałowe. Największą troską było zdobyć trochę mąki, stoniny, mięsa. Przepisy wojskowej administracji niemieckiej podobne były do mechanizmu zamykającego życie w ciasnych ramach trochę najpowszeźniejszych, a ogłoszenia niemieckie wywołujące robotników do pracy w nich świadczyły o jakiejś wprost skandalicznej dezorientacji nowych władców. Do pracy w Niemczech nakłaniało się ludzi perspektywą oryginalną. „Zarobicie tyle, że będziecie mieli z czego płacić podatki”. Jak gdyby człowiek istniał na to, aby płacić podatki! A tymczasem nie było pieniędzy, zaś sklepy, które ongi bogate, stały całonocnie puste”.

ZA POLSKĄ CZY CZECHOSŁOWACJĄ!

Niepodległość Polski stworzyła Pawłowi Hulka-Laskowskiemu możliwość pracy w kraju, który darzył wielkim sentymentem. Tłumaczowi literatury czeskiej, korespondentowi przez wiele lat z Tomaszem Mąsarykiem, zaproponowano objęcie stanowiska referenta prasowego przy poselstwie polskim w Czechosłowacji. W 1920 Hulka Laskowski wyjechał z żoną do Pragi.

„Po północy dojechaliśmy do Bogumina i dowiedzieliśmy się, że na pociąg do Pragi czeka trzeba parę długich godzin (...). Podczas czekania na pociąg chodziłem po dworcu i przysiadłem się niezwyktemu ruchowi. Jakis funkcjonariusz kolejowy z solidną fajką w ręku wujkał się wśród podróż-

nych i rozdawał im obszernie użyczenia w języku polskim, drukowane starannie i na ładnym papierze. Wezwania te starały się przekonać czytelników polskich, że powinni głosować za Czechosłowacją, bo po pierwsze nie grozi im żadne uposzczenie pod względem narodowym i gospodarczym, a po drugie będzie im lepiej żyć. Szukałem kogoś, kto by rozdał podobne użyczenia przemawiające za Polską, ale nie znalazłem. Po długich godzinach czekania na peronie ukazał się pociąg odchodzący do Pragi i znowu doznałem niemiłego uczucia zawisłości czy żalu, że wojna szalała tak wyłączenie na ziemiach polskich i jak jednostronnie niszczyła tylko nasz dorobek. Pociąg czeski był czysty, porządkowy, solidny, w przedziałach drugiej klasy było przestronno i wygodnie, mogliśmy drzemać...”

Praga była bardzo sąsiedska, miła, demokratyczna, nawet podczas kampanii przedwyborczej (...). Przypominało sobie i wspominało niedawną patriotyzm austriacki w sposób wesóły, kpiarski i jurny. (...) Któregoś wieczoru w tłum aliczny zapatrzonej w ki-



Nie tylko jego Żyrardów

nematograficzne sceny politycznego odrodzenia czechosłowackiego wzięły się pochód przedwyborczy partii socjal-demokratycznej z wielkim portretem cesarza Franciszka Józefa. Zmarły cesarz stał na obrazie, w naturalnej wielkości, jak żywy, a z ust jego płynęły słowa: „Gdybym miał prawo wyborcze, to swój głos oddałbym tylko na Karola Kramarza!” (...). Ale nazajutrz, w piękny słoneczny poranek kwietniowy ukazały się na słupach do ogłoszeń plakaty czarno-żółte z klasycznymi orłami austriackimi, a na plakatach tych publiczność mogła czytać jakieś dawne i zapomniane słowa socjalnych demokratów, wyrażające wierność i lojalność dla cesarskiego domu rakuskiego. Śmiechu było co miemiara. Wyborcy przyznali wielkie zwycięstwo socjalnym demokratom, bo ludzie wierzyli wtedy jeszcze w sprawiedliwość społeczną”.

ZACZEŁO SIĘ OD INFLACJI

Inflację 1923 roku kapitał francuski wykorzystwał do przejęcia akcji żyrardowskiej fabryki. Jak pisał W. Michowicz: „...skarby państwa poniósł straty w wysokości 2 267 358 franków szwajcarskich. Z dochożenia, jakie zostało przeprowadzone przez Trybunał Słanu, wynikało, że przekazanie Zakładów odbyło się pod niewatpliwym naciskiem francuskich czynników rządowych, które uzależniły dostawy wojskowe i udzielenie kredytów wojskowych od sposobu załatwienia starą kapitalistów francuskich”. („Żyrardów 1829 — 1945”).

Paweł Hulka-Laskowski przez osiem lat prowadził kampanię w „sprawie żyrardowskiej” wykorzystując każdą okazję, by

zmobilizować opinie publiczną przeciwko działalności nowych władców Żyrardowa.

„Napisałem artykuł o rzeczywistości gospodarczej widzianej w perspektywie Żyrardowa i posłałem go do „Gazety Polskiej” jako głos dyskusyjny, z góry licząc że nie wydrukują. Zresztą nie przywiązywałem żadnej specjalnej wagi do tego artykułu, bo wiedziałem przecie na własne oko, że paroletnia kampania prasowa przeciwko zarządowi Żyrardowa nie dała w wyniku ostatecznym literalnie nic (...). Stała się rzecz nieoczekiwana. Nie tylko że prasa polska żywo zainteresowała się artykułem moim, (...), ale co najważniejsze, zarząd Zakładów żyrardowskich zdecydował się nareszcie odpowiedzieć na stawiane mu zarzuty (...). Lecz odpowiedź dana mi piórem p. senatora G., członka rady Zakładów żyrardowskich,

była w duchu nowego kursu (...). Autor tego artykułu po raz ósmokrotny nie miał. Rozpisał się o przyjaźni polsko-francuskiej, jak gdyby miała ona w tym wypadku cokolwiek do rzeczy, rozwinął się szeroko nad szlachetnością pana Koehlera, dodał coś nieoczekiwano o kapitale, o popieraniu rządu i robił ze mnie skądś spolecznego, który w dodatku mieszka w domu fabrycznym, czyli że już z tej racji powinien być w dusze pana Koehlera (...). Odpowiedziałem mu w „Gazecie Polskiej”, co myślałem o tej odpowiedzi, wezwałem go, aby zaprzeczył faktom przez mnie podanym o terrorze panującym w Żyrardowie, a szlachetności polskich urzędników i robotników, o sprzedawaniu w kraju francuskich tkanin ze stemplem fabryki żyrardowskiej Pan G. odpowiedział znowu komunalnie w „Gazecie Handlowej”, że tego-owego, że „słowami robotników bezrobotnych nie nakarmimy”. Była to przykre uchylenie się od odpowiedzialności — tak pisał Paweł Hulka-Laskowski w „Moim Żyrardowie”.

Pierwsze wydanie tej książki zbiegło się niemal z sukcesem wieloletniej kampanii prowadzonej przez pisarza — w dwa lata później Zakład zostaje przejęty pod zarząd państwowy. Czy był to pełny sukces?

Zacytujmy jeszcze raz opinie W. Michowicza:

„Metody likwidacji afery żyrardowskiej stanowią przykład jasnego wykorzystania trudnej sytuacji słabszego sojusznika. Najpierw francuskie czynniki rządowe usiłowały na drodze interwencji dyplomatycznej nie dopuścić do pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej francuskiej grupy akcjonariuszy M. Boussaca i pozabawienia jej prawa własności do części akcji Zakładów Żyrardowskich wbrew oczywistym faktom nie- lojalnego postępowania wobec państwa polskiego. Później, wykorzystując trudną sytuację finansową państwa polskiego i podjęcie przez Warszawę starań o uzyskanie pożyczki, m. in. na dozbudowanie armii, rząd francuski postawił funkcję między przyznaniem Polsce tej pożyczki a pozytywnym załatwieniem starań akcjonariuszy francuskich o korzystne odstąpienie rządowi polskiemu akcji Zakładów Żyrardowskich. W wyniku tego zabiegu skarby państwa polskiego poniósł po raz drugi duże straty finansowe”.

Z TA SAMĄ ENERGIA

z którą bronił swojego Żyrardowa zajął się Paweł Hulka-Laskowski, wyjaśnianiem trudnych spraw z pogranicza polsko-czechosłowackiego. Tej tematyce poświęcił napisaną na zamówienie Instytutu Śląskiego wielką pracę „Śląsk za Olsz”. Zamiast streszczenia książki zacytujmy słowa przedmowy autora:

„Książka ta powstała z pobudek najczystszych. Chciałem się przychylić do usunięcia tych nieporozumień, które oddalają od siebie dwa sąsiadnie i bratnie narody (...). Wybrałem się za Olsz, aby na własne oczy zobaczyć, jak się tam żyje naszej ludności polskiej. Ta, co widziałem, opisuję.”

W czasie okupacji Paweł Hulka-Laskowski znalazł się na Pawiaku w książce „Księżyc nad Cieszyńskiem” wspomina o jednym z przesłuchań:

„Niemiec wychodzi. Sekretnie mówi do mnie: „Byłoby dobrze, gdyby pan się połączył z Czechami. Wszak pańscy przodkowie...” Trzysta lat temu wywedrowali z Czech. Jestem Polak. — „No tak, ale ja tylko radzę. Byłoby lepiej zaakcentować czeskie pochodzenie...” — Trzysta lat, wrośliśmy w Polskę i polskość. Czeskie pochodzenie jest tylko pochodzeniem. Czeskich przodków szanuje dla ich postawy moralnej wobec ucisku, myślę o nich ze czcią, ale jestem Polak. „Skoda...”

Po wyzwoleniu rodzina Hulków osiedla się w Cieszyźnie. PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI utrzymuje żywe kontakty z ministrem spraw zagranicznych Wincentym Rzymowskim, interesuje się sprawą wytyczenia granicy państwa w tym rejonie.

Umiera nagle na wylew krwi do mózgu, 29 października 1946 roku.

JULIAN CIESONIK

Foto: M. Zajeller

Na drzwiach napis: „ktoś musi to zrobić... Za drzwiami trzy niewielkie pokoje, zagracone do nieważności. Krzesła w ilości znacznej, nieśmiertelne biurka, stoly montażowe, szafka, szafeczki, stopy papierzyk, dokumentów i półki.

Półki z taśmami. Tu „Beatles” — każdy osobno, obok „Beatles — gremialnie”, tam pudełko z napisem „Jingle czyste ogólnego zastosowania”, ówde „Spandau Ballet”. Królestwo muzyki z przypiętą byle jak inskrypcją, że nikomu oprócz Niedźwieckiego i Kaczkowskiego grzebać w taśmach nie wolno.

Na wprost drzwi, na wielkim arkuszu papieru pakowego wisi list od studentów architektury — „MNIEJ POLITYKI — WIĘCEJ MUZYKI”.

W tej ciasnocie klebi się ponad dwudziestu ludzi na stałe, nie licząc współpracowników z doskoku. Jakim cudem nie depczą sobie po odciśkach — nie wiem, ale zaraz słyszę: „tu się nie urzędzi, tu się pracuje. Tu się robi radio...”

O siódmej rano budzi słuchaczy impetyczny Zdzisław Mac: Dziś temat „Oszczędność”, nasz telefon: 28-03-28, w Katowicach dyżuruje nasz reporter, u nas, od ósmej przy telefonie Maja Zawadzka, i gramy...

Komunikaty o pogodzie, o programie na cały dzień, serwisy informacyjne i znowu muzyka... W krótkich przerwach muzycznych Mac zbiega na parter, próbuje dobrać się mocną herbatą. Telefon bez przerwy dzwoni od świtu... „W Łodzi, na dachu jednego z wieżowców przy Limanowskiego, leży sobie od trzech lat ramie dźwigu”... — to w ramach akcji „Oszczędność”... Tuż przed ósmą wpada Maja Zawadzka... przeprasza, taksówkarz był gaduła... Dopada żółtego, dyżurnego telefonu. Rozmowy nagrywane na taśmę, powoli zapelniają się notatkami kartki.

JESTEŚMY PIĘKNI...

Przed dziesiątą, po telekonferencji z rozgłoszonymi terenowymi schodzi się reszta zespołu. Jest już sześć redakcji, Leszek Adamczyk, Mac dopija wystygłą herbatę. Właśnie wchodzi Jola Kucharska i Joanna Miklaszewicz — dwie stażystki. Tuż za nimi wpada roześmiana blondynka, to Monika „Cannonball” Olejnik. Urywają się wszystkie telefony naraz... „Jaźwiński z Katowic dzwoni, mają propozycje biletowe”... „Tęte! Odbierz wreszcie ten telefon, ogłuchnąć można!”

„Hej, ciotki... tego... koleżanki szanowne...” — to Sławomir — „Big boss” — Zieliński zbiera zespół przy stole. Zaczyna się codzienna narada programowa:

— Krótka rozmowa będzie, po wojskowemu. Na dziś jest tak: felieton Anny Semkiewicz, ciąg dalszy akcji „Oszczędność”. Mac, ty z Zimochem jedziesz do Urzędu Gospodarki Materiałowej, łączycie się telefonem, dwa wejścia na antenę. Przed siedemnastą i przed osiemnastą, po pięć minut. Maja, co po dyżurno reportera? — Jest temat: facetowi odebrano nadwyżkę premii za czas choroby, słusznie-nieśluszenie. Jadę do Falenicy, wracam przed trzynastą.

— Dalej, piorunem, bo czasu nie ma. Joasia robi ośrodek zdrowia, dostaniesz pięć minut. Jola, co z twoją dyrektorką z ZUS-u?

— Jest, ale odwrócimy kolejność. Najpierw ona posiedzi przy telefonie, potem idziemy z pytaniami do studia.

— Dobrze, masz pięć minut anteny, wchodzisz po 16.30.

No i Kongres PRON. Mamy profesora Kozakiewiczza — na dwa razy i Kozłowski, są dwie rozmowy z Krakowa i Olsztyna.

Cacy. Kto gdzie jedzie? Monika Olejnik i pryncypalna Grażyna Dobroń — specjalistka w sprawach studenckich, stały tandem reporterski — jadą do SGPIS. Jest coś jeszcze. Pani Zadrowska podrzuciła nam temat. Na Mokotowie kopalnia, pracując bez planów instalacji, porzuciła się telefonicznie, odcinając całą dzielnicę. Mamy nawet trochę tego wybebeszonego kabla.

— Dobra, robicie — Zieliński notuje temat... Audycja jest z gumy... — Zaplanujmy sobie od razu cały tydzień, i...

— Wetnę ci się w słowo — to Leszek Adamczyk — Ponieważ prowadzenie redakcji bez stałego punktu dowodzenia to jest urocza rzecz, musimy wreszcie ustalić gdzie każdy ma swoje biurko, gdzie leżą czyste materiały, bo jak dotąd wszyscy czegoś szukamy w tych stosach... W ogóle prowadzenie jakiejś firmy bez biurka, baterii telefonów, sekretarki i... palmy, jest chyba bez precedensu w tym kraju...

— Dobrze, dalej, co mamy na nowy tydzień? „Racjonalizacja i wynalazczość”, robi Maja. „Oszczędność czasu” — Reszczyński, Grażyna i Monika — „W granicach zdrowego rozsądku” — cały tydzień, Mac — ustawy o nietetnich i alkoholizmie.

— Słuchajcie, 10 maja zaczynają się matury. Coś im trzeba zrobić.

— A co ze stołówkami studenckimi? Ciągniemy dalej, czy odpuszczamy?

— Jest maj, wiosna, może zrobimy coś przytulnego? A w ogóle zastanówmy się, w którą stronę maszerujemy, bo nas znosi...

Co z dyżurno reportera w Warszawie? Różne są szkoły: albo jeden stały człowiek w redakcji łączności ze słuchaczami, zajmujący się tylko sygnałami od ludzi, albo przedłużać dyżur na cały dzień, albo co miesiąc robią telefony dwie osoby na zmianę...

Marcin Zimoch: — wiecie co to jest wielbłąd? To jest koń zaprojektowany przez kolegium...

— Tu, uważasz — mówi Sławomir Zieliński

NIE MA MIEJSCA DLA TĘCZOWYCH ANIOŁÓW

Jest miejsce dla zwyczajnych ludzi. Ani lepszych, ani gorszych niż ich rówieśnicy. Kiedy w kwietniu 82 ruszyła nasza audycja, ludzie byli naladowani energią do pracy. Mieliśmy milion pomysłów i raczej nieprzewidywalne wyobrażenia o kształcie programu. Wiele się zmieniło życie przewróciło niejedną koncepcję, nie wszyscy byli entuzjastami naszej wizji popularnego programu adresowanego przede wszystkim do młodych... Mówili nam, że to praca na zawal... Wiedzieliśmy tylko, że to ma być żywe radio. Po latach fascynacji techniką, znowu w

cenie jest żywy człowiek przy słuchu. Wzory takiego radia już były. Było „Lato z radiem”, były „Sygnały dnia”, no i oczywiście „Radiokurier”, który uważam za najlepszą audycję w dziejach Polskiego Radia. Tam się wychowałem, tam się wszystkiego nauczyłem. Chcieliśmy zrobić radio dające się lubić, takie, które stanie się niezbędne w codziennym życiu naszych słuchaczy.

Nowy szef programu III, Andrzej Turski postawił tylko takie warunki: ma to być audycja „bez wczoraj”, żadnego grzebania w wątpliach. Trzymać się życia i być blisko ludzi. Bez tandetnej dydaktyki. Przyciągnąć młodych i mądre wychowywać — radio to w końcu środek masowego przekazu. Audycję robią przecież trzydziestolatkowie, najłatwiej im trafić do swych rówieśników, mówić do nich zrozumiałym językiem. Nie znaczy to, że zamykamy się w kręgu „spraw młodzieżowych”. Nie można w końcu mówić o rock-koncertach, o szkole, akademiku, problemach z zatrudnieniem. Staramy się celować w myślących trzydziestolatków, ale chcemy też być słuchani przez wszystkich, których interesuje coś więcej niż tylko własny nos.

Zespół tworzący audycję „Zapraszamy do Trójki” jest bardzo różny i pod względem doświadczenia zawodowego i upodobań, gustów, temperamentów. To suma bardzo odrębnych indywidualności. Jedni trafili tu z Redakcji Młodzieżowej lub z audycji studenckiej, z „Radiokuriera”, a część przyszła po prostu z ulicy. Mieli pomysł i chcieli zrobić dobre radio.

JOLANTA WRÓŃSKA

Zaproszenie do „Trójki”

Srednia wieku mamy 27,5 roku życia, choć są wśród nas fachowcy nieco starsi, jak Jerzy Kurowski, nasz technik nagrania i kierowca, no i oczywiście znakomitości Wojciech Mann i profesor Piotr Kaczkowski. Od nich właściwie się uczymy radia.

Chcemy pracować dla ludzi... zresztą spojrz na drzwi, wisi tu nasze hasło: „Odpowiedzialność wciąż w cenie”...

Maja Zawadzka — „Full professional”, „Trójki” — montuje swój reportaż na popołudnie. Przesłuchaną taśmę trzeba ciąć, usuwać zająknięcia, powtórzenia, musi zostać „samo mięso”, sama treść.

— Dla mnie — mówi — radio powinni robić fachowcy. Tacy, co najpierw noszą przysłowiową herbatę i terminują u starszych, nim się ich wpuści przed mikrofon. Drażni mnie taki, zauważalny u nas „programowy luz”, a la „część równiaczy, mówi wasz równiacy. Jest ósma piętnaście”. To nie ma nic wspólnego z eudonią, naturalną swobodą przed mikrofonem, jaką ma na przykład Kaczkowski. Świadome granie na swej nieporadnej młodzieńczości nie może być głównym atutem popularności audycji. A my jesteśmy od Sasa do Lasa. Jedni pracują już kilka lat, inni uczyć się radia „na żywo”. Może dlatego nie jestem najbardziej zachwyconą tym, co robimy. Strzelamy we wszystkich kierunkach naraz. Radio jest takie jak ludzie, którzy je robią, a u nas — jedni programowo chodzą własnymi drogami, inni są bardziej „do siebie”, jeszcze inni mają w ręku szeptę do światła... Oczywiście pojawiają się w zespole tarcia, nawet zaciekle kłótnie. To dobrze, półki rodzi się w ten sposób lepszy pomysł, ale może też zagrozić spójności grupy. Zresztą, co tu mówić, ciągle się przecieć uczymy, docieramy i szukamy precyzyjniejszej formuły dla naszego programu. Być może brak doświadczenia powoduje, że strasznie boimy się chwili przerwy. Moment ciszy, nieplanowana luka na antenie zdaje się być kłęską, boimy się „lirycznej słodyczy”, lećmy przed siebie, byle dogonić życie... Może coś gubimy?...

...dzisiaj myślę, że spoczeliście na laurach... Naczelny zadowolony, wy też... — Jola Kucharska przegląda redakcyjną pocztę: „Jeżeli słucha was przede wszystkim młodzież, to ona ma te problemy w dupcie. Co mnie obchodzi usługi zakładu futrzarskiego? Stacjonuje się w chałcie i ciemniactwo, jak śp „Jedynka”... A czy ci młodzi mają jakiś wybór? Jola macha ręką

— przecież młodzież słucha nas często wyłącznie ze względu na muzykę i dlatego, że „Trójka” jest — być może — mniej dźwięna niż inne audycje. Czy my mamy jakąś konkurencję? To wcale nie znaczy, że puchniemy z dumy. Czujemy, że audycja nam trochę ślada, nie mamy czasu odetchnąć, a co dopiero mówić o tak zwanym wkładzie myślowym?

Jest w zespole takie ogólne marzenie, żeby

PRYTULIĆ SIĘ DO LUDZI

nie bać się chwili refleksji, zwolnienia tempa. Mieć czas przystanąć, pomyśleć o życiu, tak ogólnie...

— Popatrz — mówi Teresa Cupryn — pisze dziewczyna: „...gdzie podziały się listy słuchaczy, które czytałyście na antenie? Nie te wygładzone, o „pozytywnych bohaterach”, ale takie pytające o to, dokąd iść... młodzież jest przytłoczona brakiem perspektyw, a „Trójka” mówi, że perspektywy jest tysiąc, tylko mamy się wziąć do roboty...”

Marek Niedźwiecki czuje się jak wabik. Subiekt wystawiający na ładę najlepszy towar firmy, ten przyciągający „młodzieżowego klienta”.

Po pierwsze — śmieje się — jestem klasycznym przypadkiem tzw. „radioty”, to skrót od — radiowy idiota — człowiek ślepy na całą resztę. Bo to prawda. Marzyłem o radiu od lat

myślącego, wrażliwego człowieka. Dla mnie najcenniejszą zaletą radia jest jego intymność. Radio towarzyszy człowiekowi w sytuacjach bardzo osobistych, czasem w samotności, w ucieczce od codziennego zgiełku. Nie można gubić człowieka. Bardzo mi tutaj brakuje tego, co nazwałbym humanistycznym ciepłem. I napiszę jeszcze, że dla mnie radio, to przede wszystkim męskie głosy, nie cierpię „spiczastego” soprano o siódmej rano... ale jestem tu w mniejszości...

Kiedy zaczynaliśmy pracę w tym zespole, mieliśmy potężny rozped i wzlot, byliśmy przetylacza nas codzienne tempo. Nic w tym nadzwyczajnego, to normalny koszt rozwoju. Teraz właśnie jest czas na drugi oddech, na domyślenie pewnych spraw do końca. Po okresie mówienia co się wie, przychodzi ta najcenniejsza sztuka, że się wie, co się mówi. Trzeba mieć tylko wizję audycji, bez przerwy uczyć się i

NIE DOBIJAĆ POINTY DESKA

— Właśnie — potwierdza Sławek — nie mógłbym uczciwie powiedzieć, że podoba mi się to, co robimy, ale na razie nie stać nas jeszcze na więcej. Program wciąż się szlifuje, ludzie zgrywają się we wzajemnej współpracy, ale na to wszystko trzeba czasu. My istniejemy w końcu zaledwie rok z kawałkiem, to jest nic. Program III zawsze był ostoją najlepszym dziennikarstwa radiowego, jeśli nie chcemy odstawać, musimy ciągle pracować nad doskonałością audycji.

Po trzynastej reporterzy wracają z terenu. Obciążone są stoly montażowe. Ustala się godzina i zasady łączności z rozgłoszonymi terenowymi wchodzącymi dziś na antenę Zieliński wykażca „czasowy gryplan”, wylicza do sekundy utwory muzyczne, reportaże, relacje, wszystko musi grać, nie może być luki. Ostatnie dogrywki do oprawy muzycznej... najpierw z gazem, potem coś łagodnego i znowu szybki kawałek. Wojtek wypatrzył w gotowym już reportażu Mai, że w pośpiechu nagrywanej na żywo rozmowy zbyt często pojawia się „w dobie postępującej demokratyzacji”. Trudno, już nie ma czasu zmieniać, pójdzie jakie jest. Są kłopoty z łącznością z Krakowem... „To co, dajemy najpierw Olsztyn? a co z dziurą?... znowu jakaś ciężka kłucha na zatkanie?...”

Ludzie w przedlecie zjadają obiad w stołówce, jeszcze chwila na papierosa i już czas biegnie coraz szybciej.

Prowadzący dziś audycję Sławek Zieliński przysiadł na moment i jeszcze raz sprawdza:

— Więc mamy tak: felieton „przysto naturalny”, dwa kawałki z Olsztyna i Kraków — jeśli się połączy. O, patrzcie, to jest bomba! W Mragowie, przy naczelniku gminy powołano „Komisję młodzieżową”, gdzie najmłodszy uczestnik ma 55 lat. Powiedzieli, że gdyby wpuścili młodzież, to komisja nie spełniłaby swych zadań... Dalej, z Poznania — Węgierkiewicz ma „meble” — na żywo, coś z Wrocławia, po drodze, dla rozładowania atmosfery, Wyścig Pokoju. Potem reportaż Joli i Mai, a między tym wszystkim dużo muzyki. Zwalniamy tempo przed „Polityką dla wszystkich”. I znowu rozped — do 18.30. Potem wyhamowanie do zera i na deser Mann daje Beatlesów.

Jest jeszcze minuta czasu, złapany niemal za guzik Zieliński rzuca:

— Każdy, kto tu pracuje, musi się odnaleźć w tym, co najbardziej lubi i co najlepiej umie robić. Nie da się prowadzić audycji na dwa-dziesiąt sposobów, dlatego od pewnego czasu jest stałych czterech prowadzących. Musi być jeden stały, akceptowany przez wszystkich punkt odniesienia, czyli pytania — dla kogo i po co robimy. Przede wszystkim dla młodych, ale nie tych zbuntowanych, co są generalnie na „nie”. Tych staraliśmy się przekonywać, przyciągać, ale w końcu ile można mówić do pleców. Nie chciałbyśmy mimo wszystko rezygnować z odzyskiwania tych młodych, z wyrwania ich apatii i rozgoryczenia. Może przykład tych, co jeszcze nie opuścili rąk będzie najlepszą metodą? Dlatego staramy się pokazywać i pomagać tym, którym się jeszcze chce coś zrobić.

I napisz: Jeśli ktoś ma mi za złe, że audycja jest jaka jest, to ja wysłucham solidnych argumentów, popartych propozycją zmian. Jeśli przyjdzie do mnie człowiek i powie: Panie Zieliński, to co pan robisz jest do chrzanu, ja tu mam lepszy pomysł, to ja to od razu kupuję. Gołe malkontentstwo w stylu — daleko wam do ideału — to ja mam gdzieś. Pracujemy na tyle, na ile nas stać, a kto powiedział, że niczego lepszego już nie zrobimy? Jeśli wszyscy tutaj mamy świadomość, że zaczynamy szorować brzuchem po ulicy, to ja mam pytanie — co ty, on, ja, zrobiliśmy, żeby było lepiej niż jest? Dla mnie nie liczą się rzemieślnicze umiejętności, formalna poprawność. To, że ktoś nie jaka się przed mikrofonem, to naprawdę mało ważne. Najważniejsze — umieć niegłupio myśleć. Fachu można się nauczyć, ale nie mam ochoty popychać niczyjego myślenia przez całe życie.

Jedno jest ważne: ta audycja żyje, bo robi ją zespół konkretnych, indywidualnych ludzi. Każdy, kto tu przychodzi z zamiarem zbijania osobistego kapitału przy pomocy „Zapraszamy do Trójki”, ten przepadnie. Pracować trzeba na wspólną firmę, a dopiero jej dobra marka wypłaci się każdemu według zasług. Najpierw jest twoja firma, a potem ty i twoje prywatne ambicje. Tu nie chodzi o niszczenie indywidualnych cech, czy wtłaczanie ludzi w jedną sztafcę, lecz o to, by pamiętać, że dobra firma da i tobie dobre nazwisko.

Tuż przed szesnastą, z głosnika, realizatora dzisiejszego programu wzywa prowadzącego: Zieliński do studia!

W pokoju realizacji przygotowane w koperkach taśmy z kolejno wchodzącym na antenę materiałem, przyszykowane „jingle”. Za wielką szybą, na wprost konsoly realizatorki, widać wyflumione, pozabawione okna studio i stół, przy którym siedzą prowadzący audycję. Nad stołem wielki mikrofon na ruchomym ramieniu. Zamykają się drzwi studia, nad nimi ostrzegawczy napis: Uwaga nagranie!

No, jedziemy, słuchawki na uszy, znak ręką do realizatora. Sygnał stacji, sygnał firmy, kulkula... zapala się czerwona lampka — mikrofon włączony... Dzień dobry państwu, program popołudniowy Zapraszamy do Trójki...



— Złożyło się na to szereg, na szczęście obiektywnych przyczyn.

Rys. Jujka

W kręgu fantastyki — również dla dzieci

Pegaz" wylądował późną nocą z dala od nikłych światełek miasta. Lądowaliśmy cicho, by nie obudzić i nie spłoszyć mieszkańców — na Szeszyneru nieczęsto przylatują statki i niektórzy tubylcy jeszcze w ogóle ich nie widzieli.

Silniki umilkły, mechanik Zielony rozczesał brodę i poszedł spać, kapitan Poloskow siedział w sterowni niosząc poprawki na przestarzałą mapę nawigacyjną. Alicja pisała list do babci mając nadzieję wysłać go z Szeszyneru, ja zaś zszedłem do ładowni, aby wybrać pustą klatkę dla skłisa oraz nakarmić zwierzęta.

Cicho było na statku i ciepło. Szedłem prawie bezszelestnie po miękkim dywaniku, myśląc o tym że trzeba zaopatrzyć się w wodę oraz zdobyć włóczkę dla pajaka — tkacza — troglodyty Gąsienicy śpiewokrzew czatował na mnie za rogiem.

— Marsz natychmiast spać — ofuknąłem go. — Bo cię jutro nie podleje.

Maluch powiał ze strachu listkami i głośno szeszcząc wcisnął się do swej przegrrody.

Nagle usłyszałem ciche mlaskanie. Ktoś zakradł się do magazynu, w którym leżała reszta przesyłek. Stałem nasłuchując. Nie wiadomo, jak się zwierzę wy dostało się z klatki — nie każde da się wziąć gołymi rękami.

Ostrożnie zajrzałem przez uchylone drzwi magazynu. Nikogo. Mlaskanie jednak stało się wyraźniejsze. Wszedłem do środka zorientowałem się, że dolatuje z zamkniętej szafy chłodniczej Przechowywałem w niej ananasy.

Zdziwiło mnie, że klucz wystaje na zewnątrz — nikt zatem nie mógł wejść do szafy i zamknąć się od środka.

Powoli wyciągnąłem rękę i przekreśliwszy klucz, otworzyłem szeroko drzwi.

W szafie, dygocąc z zimna, siedział nieduży zielony człowieczek i gryzł ostrymi zębami ananasa.

Pocniósł na mnie przerażone oczy i przycisnął owoc do piersi.

— Nie rusz — warknął.

— Mógłbyś choć obrać ananasa — zauważyłem — a w ogóle jak się tu dostałeś?

— Nie dęda spokojnie zjeść kolacji! — mruknął człowiek i zniknął wraz z ananase.

Przetarłem oczy. Szafa była pusta. Na półkach o trzy ananasy mniej. Ktoś dotknął mojej nogi, drgnąłem z zaskoczenia.

Okazało się że to mały śpiewokrzew — wiercipięta lazi po ładowni.

— Jazda spać! — krzyknąłem, aczkolwiek z zasady nie krzyczę na zwierzęta ani rośliny.

Spojrzałem znów na szafę. Stał w niej odwrócony do mnie plecami zielony człowieczek i wspierał się na palce usiłował ściągnąć z półki dużego ananasa.

— Zostaw to! — krzyknąłem.

Człowiek obejrzał się i wtedy spostrzegłem, że to nie ten sam rebus, który parę minut temu jadł ananasa.

— Nie denerwuj się — rzekł — ja mam pozwolenie.

I w tejże sekundzie zniknął unosząc ananasa. Takich cudów jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć. Po rękach lekko zawróciłem głowę. W nadzwyczajnym odruchu zajrzałem w głąb szafy, jakby ktoś jeszcze mógł się tam ukrywać.

Wtem coś mnie szturchnęło — na półce stał trzeci człowieczek.

— Nie przeszkadzaj — powiedział — bo za-tiękę. — I sięgnął po ananasa.

— Co za jakieś licho — wybuchnąłem. — Skąd jesteś?

— Mieszkam tutaj — odpowiedział i wraz z ananase rozwił się w powietrzu.

To już było ponad moje siły. Napisałem guzik telefonu.

— Gienek — spytałem Poloskowa — nie śpisz?

— Nie — odpowiedział. — Pracuje. A co z twoim głosem?

— Z głosem? Nic.

— Trzęsie się jak barani ogon. Coś się stało?

— Powiedz mi, czy luk był dobrze zamknięty?

— Oczywiście. Przecież nikt nie wychodził.

— A Zielony śpi?

— Śpi Alicja również. Przed chwilą sprawdziłem. Pisała list i w połowie zasnęła. Ale co się stało?

— Słuchaj, nie wiesz przypadkiem, co to znaczy, kiedy komuś zaczyna roić się zielone ludziki?

— Malutkie? — zapytał rzeczowo kapitan — Siedzą na ramieniu? Z ogonkami? Gdzieś o tym czytałem w jakiejś starej książce.

— Nie — odpowiedziałem — dość spore bez ogonków i jadają ananasy. O... o jest! Czwar-ty!

Rzeczywiście jeszcze jeden grabieżca zjawił się w szafie, zrobił do mnie oko i zniknął.

— Już idę — zaniepokoił się Poloskow. — Weź się w garść. Sam nie rób.

Zanim Poloskow przybiegł do ładowni, w szafie chłodniczej została niespełna połowa ananasa, a dwa zielone ludziki, podsadzając się wzajemnie, usiłowały wdrapać się na górna półkę.

— Czeka! — rzekł kapitan — nie wypuszczaj ich. To na pewno nie jest halucynacja.

— Halucynacja? Jakże coś! — obrazili się człowieczek — Możecie mnie dotknąć.

— Nie mam czasu — przerwał mu drugi.

— Pozdrowienia dla Alicji — powiedział pierwszy.

— Czy Alicja naprawdę śpi? — spytałem kapitana.

— Śpi.

— To skąd mogą o niej wiedzieć?

— Zachodzę w głowę. Jakas zwirowana historia.

W szafie było pusto. Nikt więcej się nie zjawiał.

— Zamknijmy dobrze drzwi — rzekł Poloskow — Może będzie spokój.

— Skąd oni mogą wiedzieć o Alicji? — powtórzyłem.

Wylądowaliśmy zaledwie przed godziną. Nikt nie wychodził na zewnątrz.

Długo jeszcze siedzieliśmy łamiąc głowę nad wyjaśnieniem tego dziwnego zjawiska. Bezsku-

tecnie jednak. Sprawdziłmy jeszcze raz zawory na lukach, obezdziliśmy statek. Pustka, cisza, spokój.

Na wszelki wypadek położyłem się spać w pokoju Alicji. Niewygodnie mi było, uwierniłem twardej dywanik, a pod głowę musiałem podłożyć gumowe piętwy.

Zdażyłem na szczęście wstać wcześniej, toteż gdy Alicja otworzyła oczy, siedziałem już jak gdyby nigdy nic w fotelu, przeglądając „Informator o mieszkańcach Galaktyki”.

— Co tu robisz? — spytała.

— Wstąpiłem, żeby zajrzeć do twojej biblioteczki i dowiedzieć się, jak wyglądają tutejsi mieszkańcy.

— A dlaczego jesteś potargany?

Zamknąłem książkę, trudno, przejrzy ją później, i pobiegłem do swej kajuty, żeby się doprowadzić do porządku.

Myjąc się, byłem już nieomal pewny, że żadne zielone ludziki nie istnieją, wszystko to złudzenie, sen i halucynacja.

Z tą myślą zszedłem do ładowni, by rzucić okiem na szafę chłodniczą.

Była otwarta, kompletnie pusta, ani jednego ananasa — a przed nią stał głęboko zamyślony Poloskow.

— Jestem zdania — odezwał się, że tutejsi mieszkańcy wbrew prawom natury, nauczyli się przynikać przez ściany.

lem się” — i w jednej chwili rozpiął się w powietrzu.

— To on — powtórzył kapitan. — I jak go tu złapać?

— To rzeczywiście był tubylec — stwierdziła Alicja. — Wiedziałam w książce, która tatuś zostawił na fotelu.

— Jesteś pewna?

— Absolutnie.

— Skoro tak, tym gorzej dla nich. Natychmiast wysyłam zażalenie do ich władz. Tak się przyjmuje gości? — Poloskow kipiał gniewem.

— Wybac im, kapitanie.

— O nie, ani myślę. Gdzie telefon?

— Zastanów się — powiedziała błagalnie Alicja. — To są tacy mili, dobrzy ludzie. Wcale nie chcieli kraść ananasów. Tak się złożyło. Przypadek.

— Masz zbyt miękkie serce, Alicjo — odparł Poloskow. — Dziś w nocy, ledwie zdążyliśmy wylądować, zakradli się do magazynu i dalejże wyciągać ananasy, minie pół godziny i wezmą się za resztę ładunku.

— Kapitanie — ton Alicji brzmiał stanowczo — zapomniałeś o przegranej zakładzie? W ciemno?

— Nie zapomniałem.

— No więc życzę sobie, byś darował im te ananasy.

KIRYL BUŁYCZOW

Taki smutny wynalazek

— Nie, chyba to nie jest ich sprawka. Na pewno zahaczyliśmy w Kosmosie jakąś pasywniejszą cywilizację.

Do ładowni wkroczyła Alicja.

— Dzień dobry kapitanie — powiedziała. — Co się stało z ananasami?

— Skradziono je. Właśnie zastanawiamy się, jak ukarać złodziei.

— Kogo? — zdziwiła się Alicja.

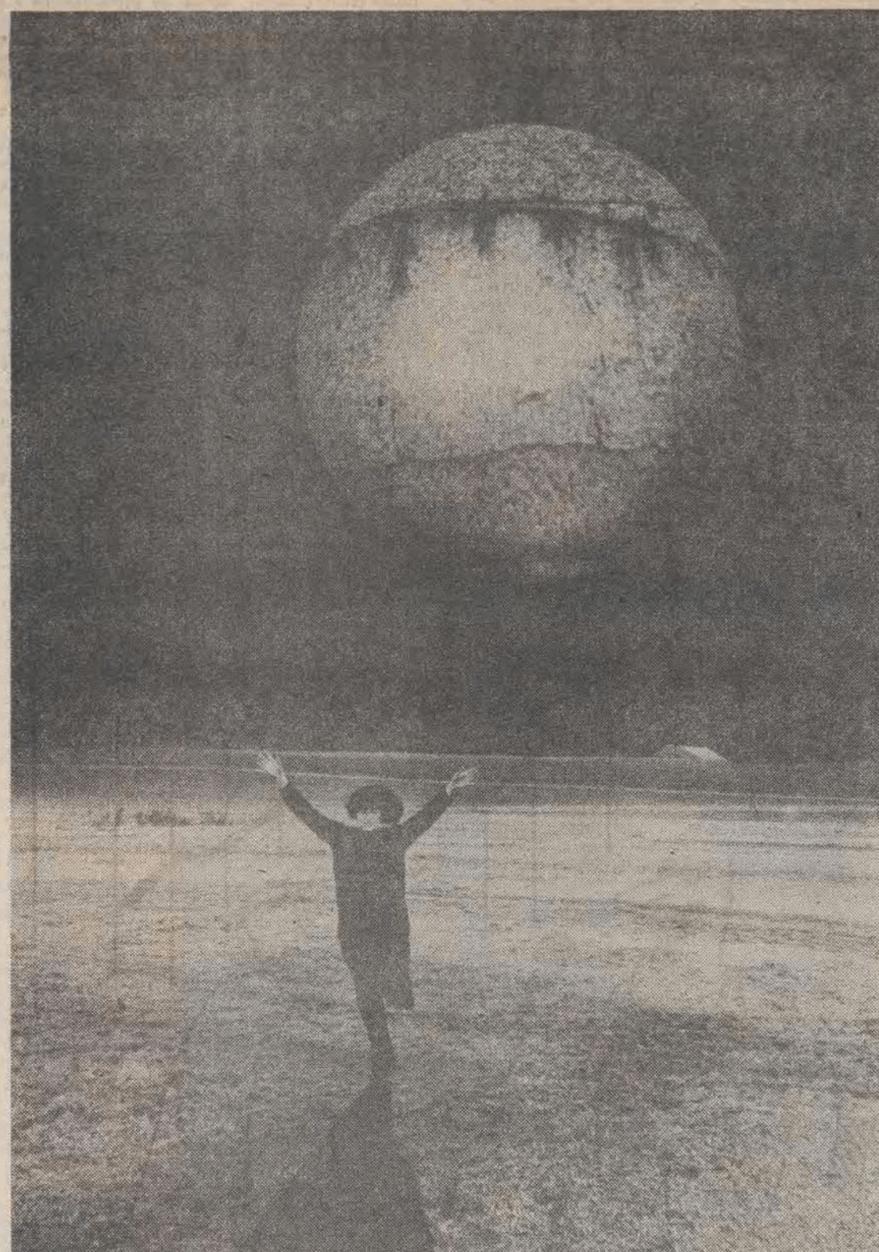
— Zielone diaby. Och, z rozkoszą dobrałbym się im do skóry! Pomysłicie tylko, jak ja się teraz pokażę na Redwajcie? Tam przecież czekają na ananasy! O, patrzcie, jest, łapcie go!

Istotnie, w szafie znów pojawił się zielony człowieczek. Obrzucił wzrokiem puste półki, mruknął nie raczywszy nas zauważyć: „Spóźni-

W tym momencie za ścianami statku rozległ się piękny wrzask. Tak straszliwy, że przetrząsnął przez poszycie. Wyleciały nam z głowy zielone ludziki ananasy, co siły w nogach popędziliśmy do trapu. Poloskow nacisnął w biegu guzik alarmowy i we wszystkich korytarzach zamigotały czerwone lampki.

Dopadł luku otworzył go i z wysokości drugiego piętra wyrzucił na zewnątrz.

Wschodziło mgliste słońce, ogromne i czerwone. Po niebie szybko płynęły podłużne szarobłękitne obłoki. Cała polana przed „Pegazem” była zatoczona zielonymi ludzikami. Wymachiwali flagami, chusteczkami, rozwijali transparenty z napisem: „Serdecznie witamy” i krzydzeli chórem:



— Za-pra-sza-my!.. Wi-taj, Ali-cjo! Dzie-ku-je-my!.. Niech żywią! — oraz inne powitalne słowa w swym niezrozumiałym języku.

Na widok Alicji radość przeszła w euforię. Wydawało się, że niebo runie od tego wrzasku.

Kilku zielonych ludzików w mgnieniu oka znalazło się przy luku, porwali Alicję i z nią zdążyli otworzyć usta, zniknęli wraz z nią, by znów pojawić się w środku rozentuzjowanego tłumu. Poniesiono Alicję wysoko na ramionach w stronę białego na horyzoncie miasta.

Na polanie został jeden zielony człowieczek, w starszym wieku, zaczął aż zędziliśmy z trapiu, i przywitawszy się z nami, rzekł:

— Zapewne nie wszystko jest dla was zrozumiałe, drodzy goście?

— Rzeczywiście nie wszystko — odpowiedział Poloskow.

— Czy Alicji nic się nie stanie? — zapytałem.

— Nic a nic. Zechciecie wysłuchać moich wyjaśnień?

— Bardzo chętnie.

— Proszę, siadajcie na trawie, ziemia ciepła, przebieg się nie sposób.

Skorzystalismy z zaproszenia, a zielony człowieczek opowiedział nam, co następuje:

— Nie tak dawno jeszcze planeta Szeszyneru nie różniła się spośród innych ubogich prowincjonalnych planet Galaktyki. Jed-

nakże lat temu dziesięć pewien Szeszynerczyk wynalazł pigułki, dzięki którym można było w granicach kilku lat podróżować w czasie w dowolnym kierunku. Początkowo całą planetę ogarnął szal radości, zaczęto masowo iść pigułki i podróżować w przeszłość lub w przyszłość. Ale już po kilku tygodniach nastąpiło gorzkie rozczarowanie.

Jeden wyruszył w przyszłość i tam dowiedział się, że opuścił go żona, bądź jego dom zostanie okradziony. Drugi — w przeszłość, aby naprawić popełniony ongiś fatalny błąd, tymczasem okazało się to niemożliwe, mógł tylko ów błąd powtórzyć. Powiedźmy, że ktoś podejrzewał kogoś o oszustwo — z łatwością mógł wrócić do owego dnia i wysłedzić fałszywca.

Ktoś inny, obawiając się, że umrze na daną chorobę bez trudu wypuszczał się w przyszłość i sprawdzał, czy lekarze mówią mu prawdę. I tak oto z czasem zaczęto bać się przyszłości — nikt już tam nie podróżował. Natomiast coraz częściej stały się podróże w przeszłość.

Każdy człowiek ma jakieś młde wspomnienia. Wyrusza więc w przeszłość, by raz jeszcze przeżyć szczęśliwe chwile. Potem znów tam powraca, jeszcze raz i jeszcze... w nieskończoność.

— Chodźmy do miasta — rzekł zielony starsuszek — tam zobaczycie, do czego ten wynalazek doprowadził.

Udałmy się za nim do miasta. Było zaniedbane, pełne wysypisk śmieci. Triumfalny pochód z Alicją przeszedł gdzieś dalej i na ulicach rzadko spotykało się ludzi. Nie zwracali zresztą na nas najmniejszej uwagi, od czasu do czasu ktoś z przechodniów zniknął. Inny znów zjawiał się niespodziewanie, chwile o czymś rozmyślał i już go nie było.

— Oni wciąż podróżują w czasie — wyjaśnił nasz przewodnik — Rzeczywistość ich nie interesuje. Przyszłości się boją. Nikt nie bierze się do pracy. Rząd wydał zakaz produkcji pigulek, lecz są one tak nieskomplikowane, że można je sporządzić w domu.

— Teraz rozumiem — powiedziałem — dlaczego już wczoraj pańscy rodacy wiedzieli o Alicji i o przylocie naszego statku.

— Jasne. Wehodziłi do waszej łodówki w przyszłości.

— Mimo to chciałbym wiedzieć, skąd taka radość z przyjazdu Alicji? — spytał Poloskow.

— Czemu na przykład nie z mego?

— To bardzo proste — rzekł stary Szeszynerczyk. — Jesteśmy ludźmi bardzo spokojnymi, dobrućmi. I potrafimy docenić życie i czuliwość innych.

— I co z tego? Przecież Alicja nie wiedziała, że zakradniecie się do naszej łodówki.

— Ach, cóż za naiwność! — rzekł z wyśmiałym zielony człowieczek.

Rozwił się w powietrzu i w trzy sekundy później znów się zjawiał z dużym ananase w rękach.

— Byłem przed chwilą w waszej łodówce — oświadczył.

— Przecież tam nie ma już ananasów.

— Ależ ja byłem tam wczorajszej nocy. Czy to takie trudne do zrozumienia? Nie prostszego. Poletałem teraz w przeszłość i wczoraj w nocy wzięłem z waszej szafy chłodniczej ananasa. Nie ukradłem go jednak tylko wzięłem, ponieważ dziś rano Alicja przypomniała Poloskowi o wygranej zakładzie i na jej życzenie darował nam ananasy. Dlatego dziś rano witaliśmy ją z taką wdzięcznością za to że pozwoliła nam wczorajszej nocy brać ananasy...

— Ja zwrócić! — rzekł Poloskow — Najpierw było dziś rano, potem była wczorajsza noc a wy brałście ananasy, których jeszcze nie wolno było brać, dlatego, że później będzie je wolno brać.

— Tak niewiele zostało nam w życiu radości — powiedział zielony człowieczek jakby nie słysząc słów kapitana — Nie znaleźmy dotychczas smaku ananasa. Ja na przykład będę teraz codziennie wyruszał w dzień poprzedni, aby zjeść ananasa, którego zjadłem wczoraj...

Milczeliśmy dłuższy czas przetrzymując niecodzienne nowiny. Wreszcie Szeszynerczyk westchnął.

— Nie mogę dłużej. Idę w przeszłość zobaczyć waszego ananasa.

Przełożyła:
IRENA RIOTROWSKA
(Z książki „Podróże Alicji”)

1

Lewym okiem

Co z tego wyniknie?

Przeczytaliśmy niedawno w jednym z tygodników szczegółowy opis gehenny, jaką przetrwała sędziwa już, bardzo wybitna pani, usiłująca załatwić prostą sprawę — tym razem w sądownictwie. W aparacie, który nazywa się „aparatem sprawiedliwości”, a potrafi być takim samym aparatem udreżen jak wszystkie cierniowe drogi biurokracji.

Przeczytaliśmy też bardzo wytworne, pełne rewerencji przeprosiny ze strony wysokich czynników rzeczoności aparatu pod adresem zmaltretowanej obywatelki, wraz z sakramentalną w takich wypadkach zapowiedzią, że „dołożymy wszelkich starań”, że „wnikliwie zbadamy”, „udzielimy upomnień” i „przeprowadzimy szkolenie”. Takich zapowiedzi czytaliśmy mnóstwo, chociaż — przynajmniej — pierwszy raz spłynęły one z ust samego wysokiego sądu.

Bardzo pięknie, odpowiedź tym razem daje chyba cała możliwa, dorazna satysfakcja. Miał te satysfakcje tylko niesforne myśli, że gdyby nie chodziło o wdowę po świetlanej pamięci uczonym, o panią z najwyższej elity intelektualnej i moralnej, to perypetie zwyczajnej klientki niktoby by po prostu nie zainteresowały jako normalna nasza, chociaż — przynajmniej — pierwszy raz spłynęły one z ust samego wysokiego sądu.

„Szkoda, że dowiadujemy się o tych nagannych faktach z opóźnieniem” — ubolewa czynnik, przepraszający damę za domane przez nią przykrości. Mój Boże — toż każdy z nas musiałby chodzić stale z ogromnym notesem i zapisywać bez przerwy nazwiska, daty, godziny, numery pokoi i okienek — i donosić natychmiast, nic nie robić tylko donosić, meldować, skarżyć — toż nikt nie nadaje za tą lawiną niezyczliwosci, głupoty, próżniactwa i — trudno, ale to prawda — arogancji!

Niech będzie na próbę pocztą. Ktoś (moja córka) chce zaprenumerować „Rozrywkę” na drugie półrocze bieżącego roku. Mieszka przy Karolewskiej.

Idzie na Pocztę Główną przy Tuwima. Informacja udzielona w okienku: — Nie tutaj. Na rejonię. — A gdzie jest mój rejonię? — Niech pani zapyta listonosza. Nie wiem.

W minutę później córka sama spostrzeżona tablicę informacyjną, z której wynika, że właściwy dla niej jest Urząd Pocztowy nr 2 przy al. Włókniarzy nr 227.

W tym urzędzie panią z oświadczenia od razu: — Nie tutaj. Na Pocztę Główną przy Tuwima. — Tam już byłam. — To pojdzie pani jeszcze raz. Tam musza załatwić. — Ale stamtąd przychodzi! — Nie mnie to nie obchodzi! — A czy mogą iść do dyrektora? Gdzie on urzęduje? — Nie powiem. — A jak się nazywa? — Nie powiem. Proszę następnego! Bardzo było trudno znaleźć pokój dyrektora, do którego nikt nie chciał wskazać drogi. Zresztą dyrektora i tak nie było.

Następnego dnia jeszcze jedna tura na Pocztę Główną. Inna panią, ale styl podobny: nie u nas. Na al. Włókniarzy.

— Ja jednak zapłacę tutaj. Dość tego. Proszę przekazać.

Urzędniczka przyjęła przekaz i pieniądze, uprzedzając jednocześnie: — I tak pani tego pisma otrzymywać nie będzie.

Koniec bzdury. O podobnych mógłbym pisać pięć razy na tydzień. No i co z tego wyniknie?

A nie.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Felieton pesymistyczny

Sorbona i Gomora

Lato w maju rozgościło się już chyba na dobre i ostatnio — uznałem — dzwonek, by zabrać nieco przed wakacyjnymi wolażkami o poprawę sylwetki. Postanowiłem więc któregoś wieczora zainaugurować wiosenne przebieżki. A kryzysowe moje jakoś łaskawie obezły się ze starym dressem i znoszonymi tenisówkami. Wśród salw śmiechu domowników wystartowałem sprzed bloku nicyzm Marilan Woronin. Za zakretem spuszczłem jednak nieco z tonu. Wszak czekała mnie jeszcze droga powrotna...

Doszli mnie gdzieś na wysokości rachitycznego skwerku. Deptali równo, mocno, widać było od razu, że nie przekraczają dziennej dawki dziesięciu „Klubowych”. No, proszę — magister B. i drugi, też z tytułem, znany mi z widzenia wasyły brunet, również zapragnęli zejść do wagi papierowej! Burczenie dołączyłem do peletonu („Siadę im na kółko, a zaatakuję dopiero na stadionie, jak Ludwig...”). Sapiąc i dysząc nie zamierzaliśmy jednak rezygnować z luźnej pogawki.

— Słyszeliście panowie o tej dziewczynce z Sosnowca? — że, która szkło przyciąga? — uruchomiłem temat-rzekę.

— Wielkie rzeczy, mnie też od czasu do czasu szkło przyciąga, zwłaszcza napełnione — zasyczał złośliwie magister, bez większego trudu wygrywając górską premię.

— Jeszcze jedna, co ma pewnie bioenergię? — brunet zrezygnował przeskoczyć kaulę, aż błoto rygnęło mu po plecach — i niech ma, na zdrowie. To są znane historie, od wieków: jak bida w kraju to wypływają wróżblei, cuda się dzieją, w ludzi i rzeczy moce wstępują. Ale zauważyliście panowie, że nikt ostatnio nie miał spotkania z „zielonymi ludźkami”, z UFO? Chyba dlatego wymyślono ogólnokrajowe popisy kobiet pod hasłem „Miss Polonia”.

— Ja miałem wczoraj takie spotkanie, bliskie, trzeciego stopnia — magister lekko tylko sapiąc znów wyszedł na prowadzenie. — Z reformą...

— Żonie zepsuł się robot domowy, taki NRD-owski, cośmy go jeszcze w prezencie ślubnym dostali...

— To robota pan nie zakopał w obawie przed społecznymi trójkami, które mają luksus tropić i skutecznie likwidować? — zakpił trochę już podmieczony wasal.

— Jeszcze nie, bo w domu potrzebny, ale do rzeczy. Lece z nim do państwowego punktu napraw, a tam pani co właśnie lakier kończyła na pozłocie nakładac, od razu mnie stopuje: „Nie wyjmuj pan go z pudła, bo nie robimy takich starych, części nie ma, etc.” Zaczęłam się przymyślać, więc sięgnęła po kaję i podała mi parę adresów.

— Punktów skupu złomu? — rozdarłem się z tytu, bo wiatr mieliśmy „od czola”.

— Niezupełnie — magister B. przeciągnął się w biegu aż mu w stawach zachrupało — prywatnych punktów naprawiających takie ustroista. No i zaraz w pierwszym się wyjaśniło: staruszek, zawalony zresztą robotą na wiele miesięcy pokpiwał głową, sprawdził przy mnie bezpiecznik wewnętrzny robota. Był spalony. Wymienił go w sekundę, a godzinę sadaliśmy o gospodarce w tym kraju i mającej ją uzdrowić reformie.

— I nie narzekaj pan — rzeczowo wysapał brunet — dawniej pięknotą w biurze nawet by panu adresów nie podała. Czuli jednak ciągnęli do przodu...

Rzeczywiście, znów przyspieszyli, mieli zdrowie. Uruchomili ich dla odmiany krótką opowiadanką o rozmoszeniu mleka. Zamiast pełnotłustego przyniosła mi niemal dzień w dzień to chude, albo — czujnie — w oście bez kapsla. Interwencje w sklepie rezultatu nie przyniosła, zresztą nikt na to za bardzo nie liczył. Przecież to białostka, normalka.

— I błąd — świstał już brunet, choć zmiany dawał mocne. — Trzeba się po prostu z roznosicielem dosadzić, koniecznym poczeszować, papieroskami. I będziecie pan miał zawsze to z żółtym kapslem. Ja wiem, gdzie pan spojrzysz — Sodoma i Gomora organizacyjna.

— Mówi się — Sorbona — wszystko naukowo podparte, sprostował magister B. — Bo premissami podbudowane, tu ustawa, tam załącznik, ludzie, naprawdę zginiemy w tych papierach.

Magister musiał chyba niepostrzeżenie pociągnąć z bideny, bo wyprysnął teraz do przodu jak na Wielkiej Pardonickiej. Złaziani walczyliśmy za jego plecami o premowane lokaty. Zgodnie ustaliliśmy, że jutro przeprowadzimy dyskretną kontrolę antydingowa (w końcu wychowanie w trzeźwość już obowiązuje). I sprawdzimy mu sprzęt. Jeśli biega w „Tigerach”, to sięgo, cwaniaka zdyskwalifikuje. Co najmniej do jesieni.

Zwyczajna rozpromieniony zbierał oklaski.

— A w tym sklepie, cośmy ostatnio te bramę wypatryli, pamięta pan, tym spożywcym, przyszły pily i stoiczne — rezonował z uśmiechem. — Żonie pan koniecznie powiedz, podobno to teraz rarytas.

Wasaty gratulował mi premowanego, trzeciego miejsca. — I nie wierz pan w te parapsychologie, bioenergie, podziemne prądy. Zawsze mówię, niech taki różdżkarz jeden z drugim posiedzi nad wahadełkiem i poda mi trafne numery Toto-Lotka. Na następny tydzień oczywiście.

STEFAN ŻYCIOWY

3

Zdarzenia i zwierzenia

Rozmowy z bratem

Zaczynają zdobywać niejaką popularność „Rozmowy z bratem”. W ogóle rozmowy w rodzinie są w modzie. W swoim czasie czytałem — publikowany zresztą szeroko w prasie i w radiu — zapis rozmowy pewnej żony z przyjacielem męża w Kanadzie. Owa żona osławionego męża załaziła się z koleją na inne żony innych osławionych mężów, które opanowały punkt rozdziału paczek w jakimś warszawskim kościele...

Potem była rozmowa dwóch przyjaciółek, które językiem dość prymitywnym jak na wykształcone panie, obmawiały swego szefa, że się nie rozlicza z dolarów (otrzymanych od Wujka Sama — a więc też rodzina), tylko wydaje je w „Pewexie” i na dodatek „konsumuje” sekretarke czy łączniczkę...

Może ktoś powiedzieć, że rozmowy w rodzinie są sprawą prywatną. Teoretycznie jest to prawda, tylko, że czasem te prywatne rozmowy mają charakter jednak nieco wykraczający poza cztery ściany. Zresztą ci, którzy dziś oburzają się na publikację tych „rozmów rodzinnych”, wcale nie protestowali, gdy szeroko sami kolportowali na przykład głoszą rozmowę z synową równie głośnego teścia. Skoro więc samemu uznano się za dopuszczalną praktykę publikowania rodzinnych rozmów — badany konsekwentnie.

Rozmowy z bratem są skeczem, który nadaje się do kabaretu. Niestety — jest to bardzo czarny humor z bardzo ponurego kabaretu. Rzecz niby prywatna, ale kiedy słyszę słowa: „Bo, widzisz, nasz przodek był, kurwa, cesarzem całego Imperium” — to nie może mi być obojętne, czy, kurwa, ten brat nie zerucha zostać polskim królem.

Nie jest to nic nowego. W końcu XIX wieku, na Wodnym Rynku w Łodzi też wybrano polskiego króla. Był to czeladnik krawiecki — niestety, historia nie zanotowała jego nazwiska. Przypuszczam, że jeśli ów czeladnik potraktował rzecz poważnie, to był to bardzo nieszczyśliwy człowiek.

Większa część rozmowy z bratem dotyczy „szmalu” i to w „zielonych”. Jest to najbardziej poważna część rozmowy. Chodzi bowiem o to, gdzie i na jaki procent ulokować ten milion, czy lepiej zainwestować go w stacje benzynowe, czy w inny interes... W tym miejscu nie jest to kabaret i błazenada, lecz bardzo rzeczowa kalkulacja dorobkiewicza. W czarny humor wpadamy dopiero przy rozważaniach historyzoficznych, a w przerażenie, gdy młodszy brat rzuca wyzwiska.

Starszy brat zdaje się nie wierzyć w dziadka cesarza Imperium, choć w milion wierzy, ale z kolei nie bardzo chce sobie brudzić ręce podejrzanymi machinacjami.

Najbardziej celne zdanie z tej rozmowy dwóch braci brzmi: „Ja ciebie rozumiem, ale pojąć nie mogę...” — mówi starszy brat.

I to jest cała kwintesencja tej rozmowy. Ja też to wszystko rozumiem, ale pojąć nie mogę.

JERZY WILMAŃSKI

4

Miss na bis

Tak się złożyło, że od blisko dziesięciu lat mniej współpracuję z „Ogłoszami”. Tak się również złożyło, że od czterech miesięcy po raz pierwszy w życiu pracuję etatowo pełniąc funkcję szefa artystycznego „Estrady Łódzkiej”. Może te informacje, nie mające pozornie nic wspólnego z tytułem felietonu, wydają się na początku trochę dziwne, ale — proszę mi wierzyć — zarówno wiadomość o mojej publicystycznej działalności, jak i wzmianka o dyrektorowaniu w przedsiębiorstwie zajmującym się rozrywką, mogą mieć znaczenie. Bawiem jako autorowi tego felietonu przyszło mi wystąpić w podwójnej roli. Dlaczego?

Oto dwa tygodnie temu dziennikarz podpisujący się dwoma imionami, a żadnym nazwiskiem, miał na przedostatniej stronie „Ogłoszów” nagłe zażalenie. Musiał ono być rzeczwiście nagłe, bowiem jego felieton zatytułowany „Miss Polonia” napisany został — delikatnie mówiąc — bez przygotowania. Nie chodzi mi tutaj o dowcipne wizje zawarte w tym materiale — w końcu pofantazjować sobie jest rzeczą właściwą dla felietonisty. Mam natomiast zastrzeżenia do szeregu informacji pomieszczonych w pierwszej części felietonu, a przeciwko niektórym muszę jako kierownik artystyczny „Estrady Łódzkiej” zdecydowanie zaprotestować w imieniu wszystkich mężczyzn zatrudnionych w tej firmie, pomówionych o to, że wykorzystują chęć swoje stanowiącej do zaspokojenia własnej próżności, czyniąc uprzednio „regulaminowo” bezwolnymi młode dziewczęta.

Bo oto autor felietonu „Miss Polonia” przytacza, niezbyt wierne zresztą, jeden z punktów regulaminu wyborów najpiękniejszej Polki, pisząc: „Ponadto nasza miss nie będzie swoim zachowaniem nastroczała najmniejszych kłopotów organizatorom wyborów”. I dalej: „Ten warunek wydaje się dziwny, nieco. Co się za tym kryje? Czy kandydatki na miss złożyły przysięgę na wzór dawnej przysięgi małżeńskej: „... ślubuję wierność i postęstwo bez grani” i w związku z tym poddadzą się nawet najwymyślniejszym żądaniom i zachciankom dżentelmenów z Estrady Łódzkiej?”

To prawda, że punkt regulaminu „Miss Polonia” mówiący, że kandydatka musi spełniać taki warunek: „Sposób bycia i obyczajność, które nie sprawiają problemów organizatorom Ogólnopolskiego Konkursu Miss Polonia”, brzmi trochę dwuznacznie, ale jest to jedynie tłumaczenie regulaminu przekazane go z Londynu. Wszak wybory „Miss Polonia” podporządkowane są regulom obowiązującym przy wyborze „Miss WORLD”. Jednakże podstawowym bledem przy interpretowaniu poszczególnych warunków było przypisanie „Estrady Łódzkiej” roli organizatora. Śpiesze tedy donieść, że głównym organizatorem Ogólnopolskiego Konkursu MISS POLONIA i jednocześnie przedstawicielem Biura MISS WORLD w Londynie jest „Stoleczna Estrada” poprzez powołane przez nią Biuro Organizacyjne Miss Polonia. Bezpośrednio z nią współpracują: Studio-2 Telewizji Polskiej, „Express Wieczorny”; Redakcja „Trójki” Polskiego Radia. Akcja poszukiwania polskich piękności obejmuje cały kraj i odbywa się etapami, przy czym

kluczy się podział na rejony.

I tu właśnie rozpoczyna się odcinek prac, w których uczestniczą agendy regionalne. Jedną z nich jest w tym wypadku „Estrada Łódzka”, której zadaniem jest umożliwienie organizatorom konkursu przeprowadzenia wyborów Miss Ziemi Łódzkiej. Swego czasu, tuż po ogłoszeniu całej akcji, w żaden sposób nie mogłem tej dyskretnie różnicy pomiędzy organizatorem a współorganizatorem na pewnym odcinku wytłumaczyć pewnej młodej reporterce z redakcji dzienników w Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Siedziała w sekretariacie i męczyła mnie o wywiad, o który później się rzęczy w Warszawie miano do mnie pretensje. Wyglądało to tak, jakby w „Porannych sygnałach” konwojent jednego z działów wypowiadał się na temat zaopatrzenia supermarketu w minionym kwartale. Cóż jednak, skoro młoda dama z mikrofonem nie chciała wyjść nie uzyskawszy wywiadu, za który — zdaje się — więcej płaci niż za zwykłą informację. Jak widać, to raczej „dżentelmeni z Estrady Łódzkiej” (do których w aktualnej sytuacji mogę się chyba zaliczyć) ulegają zachciankom młodych kobiet, a nie odwrotnie.

„Już niebawem, bo 6 czerwca stęskniona za monarchią Łódź pozna swoją królową” — napisał felietonista. Otóż nie; jest to taka półprawda Rzeczywistości, w której pracując zaplanowała na najbliższy poniedziałek zamknięty przegląd kandydatek, które oglądać będzie siedmioosobowe warszawsko-łódzkie jury, ale będzie to jedynie pierwsze sito — bez telewizji, dziennikarzy i publiczności. Natomiast właściwe wybory Miss Ziemi Łódzkiej (nazwa dość śmiała, ale i tak wolać taką niż — na przykład — Miss Podlasia i Bieszczad) odbędzie się podczas dużych halowych imprez w Pałacu Sportowym w końcu lipca br.

Kolejna sprawa wymagająca wyjaśnienia przez osobę kompetentną, za jaką się mam będąc nie tylko felietonistą „Ogłoszów”, ale także dyrektorem do spraw artystycznych „Estrady Łódzkiej”, to interpretacja warunku pierwszego w regulaminie konkursu. Na skutek wadliwego przetłumaczenia z języka angielskiego podano: „Obywatelstwo i narodowość polska”. Koniec końców stanęło na tym, że istotne jest tylko obywatelstwo, stąd i cudzoziemka mieszkająca w Polsce może stawać w szranki, nicyzm piosenkarka greckiego pochodzenia-Eleni, walcząca o prymat na polskim rynku muzycznym.

Wątpliwości zawarte w felietonie pt. „Miss Polonia” dotyczyły również formy sprawdzania inteligencji kandydatek i potwierdzania ich bezdzietności. W przypadku pierwszym, testem będzie wypełnienie specjalnej ankiety przygotowanej przez Brytyjskich organizujących Miss WORLD, w drugim zaś — organizatorzy, jak sądzę, liczą na uczciwość kandydatek, a i one same zdają sobie sprawę, jakie to utrudnienie zostawiać za kulisami, bezczęsto smarkacza i w kostiumie bikini udawać cnotliwą przed meską komisją. To tak powiedziałem, ale przynajmniej na etapie, w którym uczestniczy „Estrada Łódzka” żadnych bliższych lekarskich oględzin nie przewiduje się.

A poza wszystkim, zdaje sobie sprawę z tego, że jest Miss Polonia tematem chwytliwym od strony socjologicznych obserwacji. Na razie pozostaje on opatrzoną etykietką „ściśle tajne”, bo tak sobie życzą organizatorzy, ale być może w przyszłości — jako człowiek będący służbowo blisko tego całego balaganu — poświęcę sprawie tych niecodziennych wyborów trochę miejsca. A czy Miss Polonia to najlepsze hasło w naszym kryzysie? Nie wiem, lecz myślę, że szukanie pięknych kobiet ma szansę wykazania, iż choć tego dobra w naszym kraju nie brakuje.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Oleschowska (z-ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryński, Janusz Szymański, Glane (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzisław Krzemiński, Dariusz Miłerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panaszewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Ogłosz”, al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariatu i redakcji: 652-44, sekretarz redakcji: 690-99, publikacji: 677-70. Redakcja nie odpowiada za treść reklam i ogłoszeń. Zwraca zastrzeżenie, że prawo do skrótów informacji i warunków prenumerat udziela oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumerat rocznej 1040 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NEP XV oddział w Warszawie nr 1133 201045 139. Prenumerata i listy droższe od prenumerat krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze „Prasa-Książka-Ruch”, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103, Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28, Nr indeksu 36762. Zam. 104, L-2

Na całym świecie żyje około 15 mln Żydów. Najwięcej ich zamieszkuje w USA — ok. 7 mln, a następnie w Izraelu — ponad 3 mln. Trzecim skupiskiem ludności żydowskiej jest ZSRR (ok. 2 mln), a dalej są: Francja — 750 tysięcy, W. Brytania — ponad 400 tysięcy, Kanada — ponad 300 tys., Argentyna — ok. 300 tysięcy. Razem w tych siedmiu państwach znajduje się zdecydowana większość Żydów, gdyż ok. 14 mln, co stanowi 93 proc. całej zbiorowości. W Polsce, jak się wydaje, liczba ludzi pochodzenia żydowskiego nie przekracza dziś 10 tysięcy, chociaż niektórzy szacują ją nawet na 100 tysięcy.

Można się dziwić, w jaki sposób ten niewielki przecież i w dodatku rozproszony naród potrafił zdobyć tak olbrzymie wpływy w świecie. A najbardziej chyba zdumiewające jest to, że potężne Stany Zjednoczone faktycznie nie są państwem suwerennym wobec małego Izraela, i zmuszone są wspierać jego politykę nawet wówczas, gdy potencjalną ją wszystkie inne kraje. Także z tego względu warto więc lepiej poznać religię, losy i aspiracje Żydów.

ZIEMIA OBIECANA

Naród żydowski, podobnie jak starożytni Akadowie, Amoryci, Asyryjczycy, Aramejczycy i współczesni Arabowie, należy do grupy ludów semickich. Ukształtował się on w I tysiącleciu p.n.e. w Ziemi Kanaan — leżącej między wschodnim wybrzeżem Morza Śródziemnego a doliną rzeki Jordan oraz pomiędzy Egiptem a Mezopotamią — którą później zwano Judeą, a następnie Palestyną. Ta ostatnia i do dziś stosowana nazwa pochodzi od nie-semickiego, azjatyckiego ludu Filistynów, który przybył do tej krainy prawie jednocześnie z Żydami i osiedlił się na wybrzeżu w południowej części Kanaan. Filistyni od samego początku walczyli z plemionami izraelskimi, usiłując je wyprzeć lub podporządkować sobie. Po jednej ze zwycięskich bitew zabrali nawet Arkę Przymierza. Filistynem był biblijny Goliat, pokonany za pomocą procy przez Dawida.

Żydzi wierzą, iż Palestyna jest ziemią obiecaną i daną im przez samego Boga Jahwe. W Piśmie Świętym Bóg mówi:

„Ustanowię granice tego kraju od Morza Czerwonego do morza filistyńskiego (tzn. Śródziemnego), od pustyni aż do Rzeki (tzn. Eufratu). Oddam w ręce wasze mieszkańców tego kraju, a ty ich przepędzisz (sic!) spośród was. Nie będziesz zwracał przysięgi z nimi (sic!) ani z ich bogami. Nie mogą mieszkać w twoim kraju (sic!), gdyż przywiedliby cię do grzechu przeciw mnie. Moglibyś oddawać część ich bogom, co byłoby dla ciebie zgubą”.

Jak z tego wynika, Izrael może jeszcze sporo ziemi odebrać Arabom i znacznie powiększyć liczbę uchodźców.

Podbój Kanaan przez plemiona izraelskie odbywał się stopniowo i trwał przez ponad 200 lat. Pierwsze hordy koczowniczych najeźdźców naddążyły od strony pustyni w 2 połowie XIII wieku p.n.e. i uderzyły na osiadłych rolników i hodowców. Tymczasem w tym rejonie ok. 1229 r. powstanie antyegipskie faraon Merneptah zniszczył też — jak informuje — „obcy” lud Izrael. Stela jego stanowi najstarsze źródło historyczne potwierdzające obecność Żydów w Palestynie.

Początki izraelskiego podboju Kanaan przypadają na okres dużego chaosu, osłabienia wielkich mocarstw i gwałtownych przeobrażeń na Bliskim Wschodzie. W tych czasach pojawili się w Azji Mniejszej Indoeuropejczycy, do których zaliczają się Syryjczycy, fali semickie, Egipcjacy, „ludy morza” (w tym Filistynów). Ogromna ruchliwość przejawiała więc wszystkie rasy: Indoeuropejczycy, Semici i Azyjczycy. W takim zamieszaniu łatwiej było Hebrajczykom opanować Palestynę. Biblia podaje, że przyszedł on tutaj po 40-letniej wędrówce przez pustynię do Egiptu, skąd wyprowadził ich — dzięki boskim interwencjom — Mojżesz. Imię tego wodza i proroka jest rzeczywiście pochodzenia egipskiego, a dosłownie znaczy „syn”.

Bóg obiecał Mojżeszowi, że zaprowadzi jego lud do „złotej i przestronnej” ziemi, która „opływa w mleko i miód”. Ale przyglądając się bliżej sprawie można odnieść wrażenie, że Jahwe sobie okrutnie zadzwolił z Żydów. Już będąc na pustyni żałował, że musiał opuścić Egipt, gdzie „zasłabli przed garnkami mięsa i jadali chleb do sytości”. A później okazało się, że ta wspaniała kraina, której zdobycie pochłonięto tyle ofiar, jest przeklętym miejscem na ziemi. Prowadził tędy najważniejszy szlak handlowy łączący Azję, Afrykę i Europę, a równocześnie jest to teren przejściowy między wielkimi państwami, będący przedmiotem nieustannej walki. Stąd też zawsze sunęły przez Palestynę nie tylko karawany kupieckie, lecz także obce wojska: grabiąc dobytek mieszkańców, uprowadzając do niewoli i mordując. Życie tutaj było niezwykle ciężkie, niebezpieczne, tragiczne, niepewne. Jest to ziemia uboga, w większości wyludniona, która przyczyna tylko jedną rzecz: syczący Jordan. Lata są suche, a w zimie spadają niewielkie ilości deszczu. Dopelnieniem smutnego krajobrazu jest ponure Morze Martwe — najniższe położone miejsce na globie (392 m poniżej poziomu morza).

ŻYDOWSKIE PAŃSTWO

Przez dwa wieki pobytu w Palestynie Żydzi nie utworzyli państwa, lecz pozostawali rozbitci na wzajemnie skłócone i rywalizujące plemiona, doraznie łączące się w obliczu walki ze wspólnym wrogiem. Do trwałego zjednoczenia i powstania królestwa doszło w latach trzydziestych XV wieku. Nastąpiło to w jakimś czasie po dotkliwej klęsce, jaka zadali Hebrajczykom Filistyni, którzy zajęli sanktuarium w Silo i zabrali świętą Arkę Przymierza. Lekcja ta uświadomiła możnym rodem żydowskim konieczność wybrania króla. Został nim Saul, który miał panować 22 lata. Następnie rządzili państwem: Dawid (1010—970) i Salomon (970—931).

Za króla Salomona zakończył się podbój Ziemi Kanaan. Władca ten zorganizował państwo i dwór na modłę innych despotów wschodnich. Według Biblii posiadał on 700 żon prawowitych oraz 300 nalożnic. Wbrew zakazom boskim żył z cudzoziemkami, w tym córką faraona. Wielką jego zasługą było wybudowanie świątyni Jahwe, w której umieszczono Arkę Przymierza. Ale z drugiej strony, pod wpływem obcych kobiet, na starość zaczął czcić innych bogów.

Po śmierci Salomona państwo żydowskie rozpadło się w 929 roku na dwa królestwa: na północy Izraelskie ze stolicą w Samarii i na południu Judyckie ze stolicą w Jerozolimie. W pierwszym większym państwie, skupiającym 10 plemion, przewodziło pokolenie Efraim. A w drugim królestwie dominowało plemię Judy (wchodziło tu jeszcze tylko pokolenie Beniamina), które szczytło się wydaniem dwóch władców: zdobywcy Jerozolimy — Dawida oraz budowniczego świątyni — Salomona. Wkrótce między obu państwami doszło do wojny, w wyniku której Judea stała się zależna od Izraela. Razem królestwa te zajmowały obszar ok. 26 tys. km kw. W połowie VIII wieku p.n.e. liczba Żydów wynosiła około 1 mln (dla porównania niewiele więcej ludność liczyło około 1000 roku państwo polskie, lecz miało powierzchnię ok. 250 tys. km kw.), z czego 800 tysięcy obejmował Izrael, Samaria liczyła wówczas ok. 30 tys. mieszkańców, a Jerozolima nieco mniej.

EDMUND LEWANDOWSKI

Żydzi - historia i religia

W cyklu ŚWIAT — NURTY — IDEE... pragniemy publikować artykuły poświęcone wspomnianym światowym problemom, konfliktom, tendencjom i ideom. Artykuł Edmunda Lewandowskiego o historii i religii Żydów jest pierwszym z trzech artykułów na ten temat. Następny — również pióra Edmunda Lewandowskiego — traktować będzie o antysemityzmie, a także o żydowskim nacjonalizmie. Trzeci — pióra Franciszka Kowala — o syjonizmie.

W przygotowaniu artykuł o historii i współczesności Kurdów.

W 66 roku n.e. wybuchło w Judei wielkie powstanie antyrzymskie. Wywołał je — wbrew przestrogom wyższych kapłanów i króla Agrypy — działacz ekstremistyczny, wspierany przez młodzież i ubogich lud. Jednego z przywódców, Menachema z Galilei, entuzjastycznie przyjmowano jako oczekiwane z dawna Mesjasza. Żydzi walczyli bardzo dzielnie, ale nie mieli żadnych szans. Wojska rzymskie zajęły i zniszczyły Jerozolimę. Tytus chciał oszczędzić samą świątynię, gdzie wielu Żydów schroniło się w oczekiwaniu na cud, lecz ktoś rzucił żagiew i wspaniała budowla sponęła. Świątynia upadła w dniu 10 miesiąca ab (70 roku). Była w tym dziwna ironia losu, gdyż również 10 miesiąca ab zburzył pierwszą świątynię Nabuchodonozor. Zniszczona Jerozolima przestała być ośrodkiem religijnym judaizmu, a stała się nim teraz Jamnia (dziś Jabne). Tysiące Żydów zginęło, a wielu deportowano do odległych prowincji — Galii i Hiszpanii. W pochodzie triumfalnym w Rzymie wojsko niosło zrabowane z jerozolimskiej świątyni: Arkę Przymierza, złoty świecznik siedmioramienny, złoty stół ofiarny. W podziemiach przybytku znaleziono tak olbrzymie skarby, iż przychyliło się do gwałtownego spadku ceny złota na Wschodzie. Rzymianie uznali, że ich bogowie są potężniejsi od żydowskiego Jahwe.

DIASPORA CZYLI ROZPROSZENIE

W roku 622 król państwa Judyckiego, Jozjasz, przeprowadził reformę religijną, której celem było przywrócenie monoteizmu i zniszczenie religii „kapłanów wyżyn”. Inicjatorem zmian był arcykapłan świątyni w Jerozolimie — Chilkiasz, który zakomunikował o odkryciu „Księgi Prawa”. Chodziło tu o tzw. piątą księgę Mojżeszową, napisaną między 690 a 680 rokiem i ukrytą w świątyni. Jozjasz nakazał bezwzględnie zniszczyć wszystkie kultury religijne, poza Jahwe, i ich kapłanów. Jak czytamy w Piśmie Świętym Żydzi czcili nawet w świątyni jerozolimskiej: Baala — kanaanejskiego boga przyrody i płodności oraz Aszerę — boginię płodności i miłości seksualnej, z której kultem łączyła się prostytucja sakralna. Poza tym ludność Judei składała ofiary słońcu, księżycowi i wielu innym bóstwom.

Radukałne zmiany religijne, polegające na odrzuceniu obcych wierzeń, nie uchroniły jednak państwa Judyckiego przed klęską. Królestwo zostało podbite przez władcę babilońskiego Nabuchodonozora. W latach 597 i 586 deportowano aż trzecią część ludności, a szczególnie warstwy wyższe i rzemieślników, biednym zaś przydzielono ziemię i winnice. Najeźdźcy zburzyli mur Jerozolimy, spalili świątynię, pałac królewski i wszystkie domy stolicy. Zrabowali też złote i srebrne naczynia i przedmioty kultowe. W historii Żydów nastąpił teraz okres tzw. „niewoli babilońskiej” — trwający od 588 do 538 roku.

Po zdobyciu Babilonii przez Borsów, Palestyna uzyskała autonomię jako prowincja Jehud. Król Cyrus II Wielki pozwolił Żydom wrócić do swego kraju. Okazało się jednak, że wielu z nich znakomicie zasymlowało się i nie skorzystało z szansy powrotu do ubogiej „ziemi obiecanej”. W ciągu 48 lat niewoli wyrosło nowe pokolenie słabiej przywiązane do ojczyzny. A ci, którzy wrócili, szybko weszli w konflikt z większością ludności tubylczej. Miejscowi Żydzi w odróżnieniu od przybyszów bardziej sprzyjali kultom ludowym. Ważne znaczenie dla integracji społeczności izraelskiej miało odbudowa świątyni, która rozpoczęła w 520, a ukończono w 516 roku.

Kolejne nieszczęścia spadły na Żydw w połowie IV wieku p.n.e., kiedy król perski Artakserkses III przesiedlił część mieszkańców Judei

nad Morze Kaspijskie. Chciał w ten sposób przeszkodzić odbudowie silniejszego i nacjonalistycznego państwa. W tym czasie Żydzi nie posługiwali się już w codziennym życiu językiem hebrajskim, lecz od ok. VI wieku mówiono tutaj po aramejsku, który stał się uniwersalnym językiem ludzi Bliskiego Wschodu (notabene mówili nim także Jezus i apostołowie).

POD RZYMSKIM PANOWANIEM

W roku 332 podbił Palestynę Aleksander Wielki, a po jego śmierci weszła w skład egipskiego państwa Ptolemeuszów. Następnie w 198 r. p.n.e. zajął ją król państwa Seleucydów — Antioch III. Kilka lat później jego syn, Antioch IV, dążąc do hellenizacji wszystkich swych krajów, chciał narzucić Żydom kult Zeusa, złupić świątynię i zabronić praktykowania judaizmu. Spowodowało to w 167 roku wybuch powstania antyseleuckiego, na czele którego stanął Juda Machabeusz i jego bracia. Walki przyniosły Judei wyzwolenie. Niepodległość trwała jeden wiek. Społeczeństwo żydowskie było jednak podzielone i skłócone wewnętrznie. Panowała fatalna nienawiść pomiędzy różnymi ugrupowaniami religijnymi. W takiej sytuacji w 63 r. zdobył Jerozolimę Pompeusz (poproszono go o interwencję) i podporządkował Judeę — jako „państwo sprzymierzone” — Rzymowi. W

często składnik ten występuje na początku lub końcu (np. Elias, Elizeusz, Jankiel, Daniel). Podobnie zresztą określali boga imi Semici: po kanaanejsku i aramejsku — El lub Il, akadyjsku — Ilu (stad Babilon — brama bogów), arabsku — Allah. Patriarchowie Abraham, Izaak i Jakub czcili bóstwo pod nazwą El z różnymi przymiotnikami, jak El Sadaq — Bóg wszechmocny, El Olam — Bóg wieczny, El Eljon — Bóg najwyższy. Zaś od czasów Mojżesza Żydzi zaczęli darzyć kultem Jahwe. Biblijna Księga Wyjścia podaje, że El Sadaq patriarchów jest identyczny z Jahwe, który dopiero Mojżeszowi objawił swe imię.

W Piśmie Świętym imię Boga zapisano następująco: JHWH, gdyż hebrajski nie zna samogłosek. W zasadzie nie bardzo wiadomo, jak to wymawiali. Dla Żydów kryptonim JHWH był niewymawialny i ilekroć pojawiał się od tetragram czytali go jako Adonaj, co znaczy Pan. Początkowo przyjęto, że imię Boga brzmi Jehowa, a później ustalono jako Jahwe. Nie jest pewne, czy Jahwe stanowi formę czasownikową czy rzeczownikową. W pierwszej oznacza „stać się, być”, a w drugiej „istnienie, istota”. Dosłownie Jahwe znaczy „Jest”, a szerzej „Jestem którym Jestem”. Faktycznie jest to więc Bóg bezimienny.

Niektórzy sądzą, iż Jahwe pochodzi od „ha-wa”, czyli wiatr, i że był to Bóg wiatru i burzy, którego Mojżesz przejął od Madianitów, kiedy na pustyni zamieszkał wśród nich i poślubił córkę kapłana, Seforę. Wtedy właśnie ukazał się mu Bóg w płonącym krzaku i przedstawił jako Jahwe. Warto zaznaczyć, że gdy Jahwe zstępował to — jak czytamy w Księdze Sędziów — „ziemia drżała, a chmury niebios spływały wodą”. Wyraża się też przypuszczenie, iż Bóg Mojżesza ma związek z kanaanejskim bóstwem Jaw, synem Ela. A jeszcze inni wysuwają hipotezę, że wiarę w jednego tylko Boga wynieśli Żydzi z Egiptu, gdzie faraon Amenhotep IV Echnaton wprowadził po raz pierwszy w historii religię monoteistyczną. Głosił on, że na prawdę istnieje jeden bóg Aton, stworzył wszechrzeczy, który nakazuje powszechną miłość bliźniego i wieczny pokój światu. Bóg ten miał objawiać się w postaci tarczy słonecznej, ale w rzeczywistości był niewidzialny i nie wolno było stawiać mu żadnych posągów. Panując w latach 1379—1362 Echnaton miał semickiego ministra Janhamu, w którym być może należy upatrywać biblijnego Józefa. Ciekawe, że Aton był od dawna i przede wszystkim czczony jako Re w Heliopolis, a stamtąd właśnie Józef otrzymał za żonę córkę kapłana Poti-Fera. Nie jest więc wykluczone, że Żyd Józef przyjął religię żony i teścia z centrum kultu Atona oraz zaszczepił jej zasady swym rodakom. A później w duchu monoteistycznym wychował się też Mojżesz. Interesujące i znamienne jest, że Re (Aton) mówił o sobie: „Ja jestem tym, kim jestem”.

Faraon Echnaton musiał przemocną narzucić wiarę w jednego Atona. A po jego śmierci Egipt wrócił do politeizmu. Tak samo Żydzi niechętnie przyjmowali religię mojszową i z uporem wracali do kultu wielu bogów. W Księdze Wyjścia zwrócił się do Boga mówiąc do Mojżesza:

„Bardzo szybko odwrócił się od drogi, którą im zleciłem i utworzył sobie posąg cięcia ułanu z metalu i złoty mu ofiary”.

No cóż, chcieli mieć po prostu religię podobną do innych ludów, które miały widzialne bóstwa.

BÓG I SZATAN

Ważnym krokiem w kierunku przywrócenia monoteizmu była, wspomniana wyżej, reforma Jozjasza i Chilkiasza z 622 roku. Ale ostatecznie monoteizm ugruntował się w okresie niewoli babilońskiej, kiedy walczono o utrzymanie tożsamości narodowej. Pierwszy kategorię stwierdził, iż „poza Jahwe nie ma Boga” Deuter-17:3, piszący między 546 a 530 rokiem. Później, pokolenia Żydów rozrzucone po świecie codziennie powtarzały: „Słuchaj Izraelu, Jahwe jest jedynym”.

Jak wynika z Pisma Świętego Bóg zawarł przymierze z Żydami. Była to dwustronna umowa, na mocy której zobowiązał się do sprzyjania dążeniom narodu żydowskiego, a ten miał być mu wierny, ściśle wypełniać przykazania i oddawać część. Na znak przynależności do przymierza wszystkie niemowlęta płci męskiej winny być w ósmym dniu życia obrzezane. W Księdze Rodzaju Bóg powiada:

„Nieobrzezanie, czyli mężczyzna, któremu nie obrzezano ciała jego napełka, taki człowiek niechaj będzie usunięty ze społeczności twojej; zerwał on bowiem przymierze ze Mną”.

Bóg jest jeden, ale ma przeciwnika w postaci szatana. Po hebrajsku „Isatan” oznacza „na przekór”, „przeciwstawiający się”. Nieco inny zaś sens ma greckie „diabolos” czyli „oszczerca”. W biblijnej księdze Joba szatan zjawia się przed Jahwe wśród przybyłych synów bożych. A na pytanie Boga — skąd przybył? — odpowiada:

„Wędrowałem po ziemi i przeszedłem ją wzduż i wzszerz”.

Bóg ciekaw był, czy szatan zwrócił uwagę podczas włóczęgi na dobrego i pobożnego człowieka Hioba. Na to szatan odparł, że za swoje życie człowiek odda wszystko, co posiada, a jeśli spadną na niego nieszczęścia, to będzie zlorzezczył Bogu. Rola szatana w historii świętej jest bardzo ważna od samego początku. On bowiem spowodował, że pierwsza para ludzka została wypędzona z ogrodu Eden (tzn. rozkoszy) i podobnie jak Bóg poznała, co jest dobre, a co złe. Ale szatan rzadko występuje na kartach Pisma Świętego, gdyż Żydzi wierzyli, że dobro i zło zależą od Boga i on za nie odpowiada. Natomiast szatan działa w takim zakresie, w jakim Jahwe przyzwala.

BÓG ŻYDÓW JAHWE

W języku hebrajskim boga określa się wyrazem „El”. Dlatego w imionach żydowskich tak